Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 15. Sierpnia 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 33.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Internaty = Kollegiaty.

Na posiedzeniu sejmowem z dnia 19. lipca r. b. pokutowała znowu myśl założenia internatu dla kandydatów na nauczycieli szkół ludowych. Projekt został wprawdzie jakby odrzucony, odesłano go bowiem do Wydziału krajowego i Rady szkolnej z poleceniem zdania sprawy na przyszłej sesji, ale nie każdy projekt, w ten sposób na śmierć skazany, pozostaje trupem. Niekiedy powstają upiory, o których lud mówi, że lubią krew ludzką. Projekt internatów jest takim upiorem, na razie bezzębnym, dopóki nie wejdzie w życie; wykonany, dostałby zęby i poczuł pragnienie już nie krwi, ale mózgów młodzieńczych. Zadaniem bowiem tego projektu jest zdążenie krzywemi drogami do obałamucenia młodzieży. Zamiarem jego chrzestnych ojców jest owładnięcie steru nad internatami, gdyby na nie kraj pozwolił. Czujność i prawo nadzoru instytucji kompetentnych obróciłyby się w niwec, skoroby już internaty do skutku przyszły. Kto tego nie widzi, to daj Boże, aby nie miał sposobności przekonać się o tem, gdy już będzie zapóźno. Zwracamy jednak uwagę, że projektodawcy i ich przyjaciele przejęci są zasadą: „cel uświęca środki“. Choćby się nie trzykroć, ale po tysiąc razy wypierali tej zasady jawnie, pozostaną jej wierni w cichości, a w czynach jawnych wtedy, kiedy celu dopną. Dlatego nie potem niezbędną jest czujność, ale teraz, nim do zgubnej uchwały przyjdzie, nim ojcowie chrzestni poszukają sobie kumów do rozpowicia ze szmat strupieszałych upiora i zgalwanizowania go po to, ażeby zeń zrobić narzędzie, rzekomo moralności. W istocie byłoby to narzędzie gotowe do wszelkich środków, jakieby uznali ukryci kierownicy internatów za potrzebne do pewnych celów, tak pięknych, jakiemi były cele kollegiat jezuickich w dawnej Polsce.

Projektodawca regulaminu internatowego wcielił weń nawet jedną z kardynalnych zasad jezuickich, gdyż żąda wyłączności wyznaniowej, co w czasach dzisiejszych równa się praktykowanej w dawnych kollegiach jezuickich nietolerancji wyznań, a z drugiej strony zdradza chętkę propagowania fanatyzmu religijnego. Jak wyszedł naród pojony przez dwa wieki tą najzjadliwszą trucizną jezuicką — mówią o tem dzieje. Dlatego powiedzieliśmy na wstępie, że tworzenie internatów, to wywoływanie z grobu upiora jezuickiego, tego upiora krwawego, który przed stupięćdziesięciu i sześciu laty zalał krwią rodzinne miasto Kopernika. Jeżeli hańba morderstwa popełnionego w Toruniu podówczas na dziesięciu niewinnych osobach, nie spadła na cały naród, to spadły nań za to klęski za zbrodnię popełnioną przez rektora jezuitów, wszystkich członków zakonu i ich pomocników. Ale dodajmy oraz, że narzędziem do wywołania zaburzeń byli uczniowie kollegiaty jezuickiej, dodajmy także, że jezuici przestrzegali równie wyłączności, podówczas szlacheckiej, że nieszlachcic nie mógł korzystać z dobrodziejstw pojenia się fanatyzmem religijnym, tak jak dziś projektodawca internatu nie życzy sobie, ażeby się poił izraelita moralnością i światłem internatowem.

Jakież to zresztą smutne pojęcie moralności, którą zasiewać trzeba według projektodawcy nie pod jasnemi promieniami słońca, ale w cieplarni. Jakież to zwątpienie w potęgę słowa szafarzów moralności, jakie powątpiewanie o dobroci ziarna, które siać mają, jeżeli się aż woła o rygle i kraty w przypuszczeniu, że owoc będzie wątły. Przypuszczenie takie jest obrazą dla całego stanu nauczycielskiego, jest krzywdą dla stanu duchownego, który w pierwszym rzędzie powołany do czuwania nad moralnością, sądzimy, że nie zwątpił jeszcze o sobie i nie zwątpi zapewne, jeżeli nie pójdzie za modą ultramontanizmu, lecz zechce tradycyjnie godzić obowiązki obywatelskie i patrjotyczne z obowiązkami duszpasterstwa.

Bezwątpienia ci, którzy tak trwożliwie załamują ręce nad zatratą moralności, że chcą na jej piastunkę wymurować więzienia, muszą być sami aż do szpiku moralni i muszą także wiedzieć, że przykład, dany przez moralność publiczną, podeprze nadwątloną w ich mniemaniu moralność społeczną. Wiedząc o tem, mogliby zrobić to, co dyktuje bolejące ich poczucie obywatelskie. Jeżeli kraj ubogi, młodzież uboga i zmuszona szukać, jak wyrzeczono, przytułku często u zdemoralizowanego pospólstwa, to jedyny ratunek, nie więzienie dla młodzieży, nie poprawna edycja kollegiat jezuickich, ale zapewnienie tej młodzieży egzystencji, godniejszej ludzi. W takim razie chodziłoby tylko o zebranie znaczniejszego funduszu stypendyjnego. Ale niestety! w takich razach apelacja do kieszeni ludzi zasobnych i moralnych, poczytywana jest za niegrzeczność i pozostaje tylko słowem, może nawet niemoralnem. Gdyby się stała ciałem, stałaby się równocześnie moralnością publiczną, godną chwały wiekuistej.

Ale taka chwała bywa nagrodą tylko czynów zbiorowych, czynów moralności publicznej, a na to odpowiedzą moraliści: ciężkie czasy. Społeczeństwo więc, które wiecznie stęka na ciężkie czasy i wiecznie mu ciężka praca dla zasługi, z której tylko marna chwała a pożytek dopiero w przyszłości — społeczeństwo takie powinno przynajmniej czuwać, ażeby nie ściągać na siebie klęsk moralnych i nieszczęść duchowych. Takiem nieszczęściem byłoby utworzenie internatów, które niebawem przetworzyłyby się w co innego, stałyby się narzędziem w ręku ludzi wpływowych i upartych, mających cele moralne wyższe (!!) od dobra społecznego i ojczyzny.

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

VII.

Imć pan Łoboda.

Szpinka owa, która po wyjściu Łobody w ręku starościance została, pozbawiła ją przez dni parę apetytu i snu. Błąkała się, niby mara, po zamku. Pragnęła jaknajrychlej z Łobodą się zejść, a to nie dla czego innego, jeno dla tego, żeby mu szpinkę oddać. Zachodził przy tem jeszcze i interes, tyczący się żydziątka. Interes ów atoli na drugim stał planie. Najważniejszą rolę odgrywała szpinka, która że swojej strony stanowiła pretekst, osłaniający inny jakiś interes, odnoszący się do młodego, a bardzo bardzo interesującego szlachcica.

Szpinka owa obchodziłaby Krzysię miernie, gdyby nie pochodziła od Łobody. Tu zaś, niby na złość, młody człowiek nie pokazywał się przez dni dwa.

Krzysia napróżno wyglądała go w komnacie. Godzinami całemi chodziła niespokojna, ze szpinką w gors wpiętą, przez okno wyglądała, do drzwi nasłuchiwała. W nasłuchiwaniu do takiej doszła wprawy, że rozpoznać już umiała odgłos kroków nie jego. Wreszcie dał się słyszeć chód.

— To on!... — zawołała.

W rzeczy samej, był to on.

Krzysia chciała mu natychmiast podać klejnocik i powiedzieć tonem repliki nie dopuszczającym:

— Weź waszmość szpinkę tę sobie!...

Młody człowiek jednak wszedł tak prędko i zbliżył się do niej tak rezolutnie, że czasu nie miała przysposobić się odpowiednio.

— Więc tak... — zaczął. Waszmościanka zabawisz żydów kanakiem jakim, a ja za żydziaka i w nogi!... Dziś wieczorem Srula w domu nie będzie...

— Jakże więc?... — zapytała.

— A oto tak... Wyjdziemy razem, ja waszmościankę odprowadzę, do drzwi wpuszczę, sam zaś podedrzwiami stanąwszy, będę sposobnego wyczekiwał momentu... Jeżeli się rzecz uda, dobrze; jeżeli się nie uda, spróbujemy raz drugi i trzeci... Czy zgoda?...

— Hm, hm... — szepnęła — zgoda...

— Do wieczora przeto...

— Skłonił się i wyszedł.

Nieszczęsna szpinka przy Krzysi została.

— Niechajno... wieczorem... — powiedziała sobie.

W niepokoju wieczora doczekała — i doczekała się Łobody.

— Pójdź waszmościanka do wojewodziny po kanak... — było powiedzenie, którem, przyszedłszy, w oczy jej od razu cisnął, niby rozkazem jakim.

Dziewczyna do wojewodziny wnet się udała i po chwili z klejnotem w ręku powróciła:

— Chodźmy...

Poszli.

W wieku owym nie panował jeszcze zwyczaj podawania damom ramion. Damy chodziły o sile własnej. Krzysia przeto towarzyszyła młodemu człowiekowi, idąc obok, i byłaby mu pamiątkę zwróciła, gdyby nie to, że on ją przez drogę nauczał, jak ma postąpić sobie, ażeby uwagę żydów na klejnot zwrócić.

— Wejdziesz i oświadczysz żydowicy, że masz do Srula interes... Żydowica zapyta: jaki? Powiesz, że potrzeba ci dowiedzieć się o wartości istotnej klejnotu, który masz przy sobie... Ona zażąda, żebyś jej klejnot pokazała... Pokaż... Żydzi się zbiegną, poczną się przypatrywać i szwargotać, ja zaś z poza drzwi zdołam może bachura zwędzić...

Nauczał, powtarzał, wpajał plan swój dziewczynie w rozumienie zarazem i w pamięć; Krzysia uwagi ze swojej strony czyniła; Łoboda odpowiadał; w końcu umówił się z nią o miejsce schadzki po dokonaniu porwania, a to w tym celu, ażeby ona dziecko wojewodzine odniosła.

— Nie mogę do zamku przez bramę wchodzić wprost... Przelezę z tyłu, przez mur od ogrodu, przez miasto zaś przemknę uliczkami bocznemi, ażeby ślad za sobą zagubić... Żydzi, jak tylko się opatrzą, natychmiast na zamek jak w dym uderzą...

Zaledwie wymówił słowa ostatnie, wnet dodał:

— Otóż i drzwi Srula... Idź waszmościanka... śmiało tylko...

Krzysia weszła, zostawiając, stosownie do umowy, drzwi za sobą na wpół przymknięte.

— A czego to?... — spotkała ją po izbie się powoli kręcąca i patynkami klapiąca żydowica zapytaniem.

— Ja do Srula.., z interesem...

— Ny... z jakim to interesem?...

— Mam kanak, któregobym wartość istotną znać chciała...

— Kanak?... e?... A pokaż jeno panuńcia ten kanak!...

Stało się, jak Łoboda przepowiedział. Widok klejnotu drogiemi połyskującego kamieniami, ściągnął żydowstwo całe w izbie się znajdujące w punkt jeden, do jedynej na stoliku świeczki, przy której sześć głów nachyliło się i sześć par oczów natężyło się. Powstało szwargotanie. Ten coś mówił i ten coś mówił. Cmokali, chlipali i oblizywali się. Wrzeszcie Srulowa, oddając z gestem pogardy kanak Krzysi, odezwała się:

— I... to mało co warte... Kamienie fałszywe...

Krzysia klejnot schowała. Żydówka od niechcenia zapytała:

— Panuncia to sprzedawać chce?...

Nagle po izbie się obejrzała.

— Ny?... Judełe! Judełkie!...

Wyglądnęła przez drzwi. Znów się po izbie obejrzała. Obecni żydzi wszyscy niespokojnie uwijać się poczęli. Głos żydówki coraz to mocniej nabrzmiewał przerażeniem. W końcu ręce rozkrzyżowała, w płacz uderzyła, za głowę się uchwyciła i z mocą boleści najwyższej zawołała:

— Ja matka!...

Wyraz ten padł na starościankę buską tak, jak w starożytności na wskazaną na ukamienowanie niewiastę padał kamień pierwszy. Przejęły ją naraz i wstyd, i żal, i boleść. Ujrzała w żydówce macierzyństwo zranione śmiertelnie. Rozpacz żydowicy w jej odbiła się sercu. Na krzyki i lamenty matki zbiegać się poczęli żydzi tłumnie, co ułatwiło jej wysunięcie się niepostrzeżenie. Wymknęła się i pędem udała na punkt umówionej ze szlachcicem młodym schadzki.

Wpadła zadyszana do ogrodu zamkowego, cieniem wieczornym otulonego. Łobody nie było jeszcze. Miała czas odpocząć, długo jednak nie czekała. Szlachcic mur przeskoczył i stanął przed nią z żydziątkiem na ręku, które wnet żałośnie kwilić poczęło.

— Ha!... no!... — zawołał. Gorącą przebyłem łaźnię... Wyobraź sobie waszmościanka... musiałem bachurowi gębę zatykać, żeby nie wrzeszczał...

— Za matką... — odparła Krzysia.

— Ano... jużci...

— A tam... matka w rozpaczy...

— Zapewne...

— Godziż się dziecko wydzierać matce?

— Nie myślę, żeby się to godzić miało...

— Na cóżeś porwał?...

— Na co?... dla przypodobania się waszmościance...

— Oddać potrzeba... oddać!... dziecko matce!...

— Owszem... — podchwycił Łoboda. Tylko... jak tu się z niem przemknąć napowrót?...

Krzysia, nic nie odpowiadając, za mur się ręką ujęła, w chwili jednej na mur wlazła, na zewnątrz ogrodu skoczyła i wyciągając z tamtej strony ręce, rzekła:

— Podaj mi dziecko, waszmość...

Łoboda żydziątko podał — lecz i sam z ogrodu wyskoczył.

W chwili tejże starościanka buska i podstolic wołyński spieszyli do Srula złotnika z powrotem. Przed domem Srula tłoczył się tłum wielki żydów; w tłumie tym panował gwar szwargotu, a w gwarze prym trzymał lament żydowicy. Łoboda i Krzysia w ciżbę się wparli; z trudem niemałym przeciskali się i gdy się już o kroków kilkanaście od domu znajdowali, ktoś z tłumu poznał małego potomka Izraela. Wnet podano matce wiadomość o odnalezieniu syna. Ach! porwałaż się i skoczyła. Z rękami wyciągniętemi rzuciła się i dziecko pochwyciła. Po rozpaczy nastąpiła wnet radość bezmierna. Otuliła chłopca ramionami na piersiach, uciekła i drzwi za sobą zatrzasnęła.

W tłumie, który się rozchodzić począł, gwar wielki ustał, ustępując miejsca mruczeniu głuchemu, w którem dominował wyraz: goim. Toczyła się zapewne mowa o goimie, co złotnika dziecko odnalazł. Nie wiedziano, że odnalazł je tenże sam, co porwał.

Młody szlachcic i panna Łączyńska puścili się do zamku z powrotem. Szli zrazu

w milczeniu, które trwać ciągle nie mogło. Przerwała je Krzysia. To co się zrobiło, nastąpiło pod wpływem naturalnej do dobrego pobudki, tkwiącej w duszy każdego człowieka, tak najucywilizowańszego, jak najdzikszego. Pobudka owa jest zaczynem moralności, pierwiastkiem etycznym, bez którego przepisy i instytucje moralność regulujące nie miałyby ani sensu, ani bytu. Ow to pierwiastek spowodował oddanie dziecka matce.

Zapomnieli o wojewodzinie. Powodem odezwania się Krzysi było to, że przypomniała o niej sobie.

— Ach! mości podstolicu.. — zawołała nagle głosem strwożonym.

— Co rozkażesz, mościa starościanko?...

— Co powie na to pani wojewodzina?...

— Aha!... prawda...

Zatrzymali się. Gdyby nie zmrok, widziećby można osłupienie, jakiemu mianowicie podległa Krzysia.

— Cóż będzie... teraz?...

— Co?... ha!... — odparł młody człowiek.

— Co powie wojewodzina?...

— Cóżby powiedzieć miała!... Ja odniósł żydziaka!... Jam go porwał i ja odniósł... ja przeto przed wojewodziną odpowiedzialny jestem... Nie kto inny, jeno ja... Waszmościanka wywiązałaś się z tego, co do ciebie należało... Niech więc wojewodzina do mnie się czepia.

Przejęcie na siebie wobec wojewodziny odpowiedzialności wydało się Krzysi heroizmem, który w niej rzewne jakieś wywołał uczucie.

— Mości podstolicu... — odrzekła — zawiniłeś waszmość nie sam...

— Jakto... nie sam!... — odrzucił tenże tonem opozycji. — Któż jeszcze?...

— Ja... trochę... — wykrztusiło dziewczę, zalęknione nieco tonem odpowiedzi towarzysza swego.

— Ani troszyneczki!... Ja przyniósł... ja odniósł... Ot co! Powiedz tak wasanna wojewodzinie i basta...

— Panie podstolicu!...

— Ja po prawdzie wyznam... — ciągnął ten ostatni, nadając głosowi wyraz, odbrzmiewający z serca — po prawdzie wyznam: gdyby nie wasanna, mościa starościanko... o!... nikt nie namówiłby mnie do porwania żydom dziecka...

— Ja więc winna... — podchwyciła panienka.

— O tyle, że... skoczyłbym w ogień gdybyś mi kazała... Bo, nie wiem co... ale... ale... chętniebym się tobie, mościapanno, w niewolę oddał...

— Mości podstolicu!... — przerwała Krzysia, która czuła potrzebę wracania do zamku, a ruszyć się z miejsca nie mogła, przytrzymywana siłą jakąś niepojętą.

— Ot co jest... — prawił podstolic. — Winy więc nie zwalaj na siebie... Wojewodzina wasannie kazała i mnie wasannie dodała... no... i ja... ja sam urządziłem wszystko... Poszedłem do Srula najpierw po szpinkę...

— Ach!... ta szpinka... — podchwyciła. Oto ona... — odpięła i podała.

— A to?... — zapytał młody człowiek.

— Weź ją waszmość napowrót... Ja... ja... — bąkać poczęła...

— Gniewasz się wasanna na mnie?...

— Nie... ale... bo to... jakoś...

— Jeżeli się gniewasz, to co innego... wezmę... Jeżeli się jednak nie gniewasz, to czemużbyś zachować nie miała pamiątki od człowieka, co odjedzie i nie wróci może?..

— Waszmość odjedziesz?... — zapytała dziewczyna ze współczuciem.

— Ano... Spieszyć muszę na pole zapałów Marsa...

— Hm... hm... — jąkała się Krzysia — spoglądając na młodego człowieka okiem troskliwości, w której było coś więcej niż prosta troskliwość.

— Czemużbyś więc odemnie pamiątki błahej zachować nie miała?...

— Ale tak chyba?... — zaczęła.

— Jak?...

— Tak, że i ja waszmości dam pamiątkę od siebie?...

— O? mościa starościanko!... — zawołał młody szlachcic w uniesieniu. — O!.. pamiątka od ciebie będzie dla mnie skarbem najdroższym!...

— Ale ja nie mam nic przy sobie...

— Nie odjeżdżam niezwłocznie. Pozostaję jeszcze w zamku przez dni kilka...

Ba! »Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi,« Imć Łoboda nie pozostał w zamku nie to dni, ale godzin kilku, zmuszonym będąc natychmiast po powrocie z wyprawy, która się w taki dla matki żydowicy pomyślny zakończyła sposób, przenieść się do gospody na mieszkanie. Marszałek dworu zakomunikował mu rozkaz wojewodziny. Wykreślonym został z listy dworzan wojewody. Wyrok był bez apelacji.

Krzysia, po ostatnich przez Łobodę wyrzeczonych wyrazach, odzyskała władzę nad sobą i ruszyła ku zamkowi. Łoboda towarzyszył jej aż do proga, którego przekroczyć nie mógł, pożegnał ją »do widzenia« i ona śmiało a swobodnie udała się do wojewodziny, w celu zdania sprawy z tego co zaszło. Wojewodzina jednak nie przypuściła jej przed oblicze swoje — znajdowała się w sypialnej komnacie na modlitwie. Powiadomioną już była o wszystkiem. Krzysia spotkała się z nią nazajutrz dopiero, o zwykłej porze i nie doznała od niej gniewu, ani wymówki najmniejszej.

Krzysia płakała; — wojewodzina zajęła się nią z troskliwością szczególną — z troskliwością pasterki względem owieczki zbłąkanej: garnęła ją do siebie, dobrotliwie do niej przemawiała i z naciskiem osobliwym mówiła jej o rozkoszach życia klasztornego, nie wspominając nigdy o synku Srula złotnika.

Dziewczyna o losie, jaki Łobodę spotkał, dowiedziała się od swej panny służącej.

— Proszę pannunci!... imć pan Łoboda wypędzony z zamku...

W tej formie doszła ją wiadomość ta.

Krzysia skipiała. Spadło to na nią na kształt gromu. Doznała zawrotu niby głowy; natychmiast jednak zawrzał w niej duch buntu, tem silniej, że go w sobie tłumić musiała. Nie miała się zwierzać komu. W pierwszych po otrzymaniu wiadomości powyższej chwilach, przyszły jej na myśl dwie rzeczy: najprzód, powód wygnania Łobody, który przypisywała wzięciu przezeń winy całej na siebie, następnie uczynione młodemu człowiekowi przyrzeczenie, co się pamiątki tyczy. Jedno przedstawiało go jej w draperjach piękna heroicznego; drugie przedstawiało się jej pod postacią obowiązku sumienia, tem ważniejszego, że nacechowanego naprawą krzywdy, jaka go z jej spotkała powodu. Dwie te rzeczy spokoju jej nie dawały. Gdyby wiedziała, gdzie Łoboda mieszka, gotową była nawet do mieszkania jego udać się osobiście. Nie wiedziała jednak. Myślała nad przedmiotem, któryby zasługiwał pójść na pamiątkę do niego. Z klejnotów, jakie posiadała, żaden nie wydawał się jej dosyć szacownym pod względem nie wartości pieniężnej ale moralnej. Miała krzyżyk od matki. Uważała go jako talizman. Ten był dla niej najdroższym: krzyżyk więc ów przygotowała na pamiątkę dla Łobody, zawiesiła go na sobie i z nim, wieczora się doczekawszy, wysza do ogrodu na podumanie samotne.

Rozkochani mają zwroty wspomnieniowe, odnoszące się do miejsc pewnych. Ani się spostrzegła, jak znalazła się pod murem, w tym punkcie, w którym odbyło się wniesienie i wyniesienie żydowskiego dziecka.

— Tu... ach! tu... — mówiła sobie.

Na nici wspomnienia nizała okoliczności wszystkie, jakie towarzyszyły schadzce, dokonanej pod auspicjami wojewodziny. Pomimo wiedzy jej i woli formułowało się w niej życzenie, pragnienie tego, ażeby się schadzka owa ponowić mogła, a to w celu nie innym, jeno w tym, ażeby mu zwrócić dług — oddać krzyżyk poświęcony. Odchodziła, wracała, krążyła około punktu tego; czekała; nie doczekała się niczego.

Nazajutrz powtórzyło się to samo.

Toż samo powtórzyło się w dniu trzecim, i czwartym, i piątym.

Punkt, w którym schadzka miejsce miała, stał się dla niej celem codziennych jej wieczornych w ogrodzie przechadzek.

Chodziła i czekała, snując rojenia, które w jejże samej przekonaniu ziścić się nie miały nigdy.

I doczekała się.

Łoboda spadł jej pod nogi, z okrzykiem na ustach:

— Ha!...

Zlękła się srodze i uradowała wielce.

— Panie podstolicu!... — zawołała.

Podstolic klęczał przed nią.

— Moja mościapanno!... — mówił. — Jutro ruszam w drogę... Chciałem pożegnać to miejsce, na którem dowiedziałem się, że szanować umiesz uczucia matki... Odjeżdżam... Unoszę obraz twój w sercu mojem...

Mówił jeszcze, kiedy mu Krzysia krzyżyk na szyję wkładała. Włożyła i rzekła:

— Pamiątka odemnie... Krzyżyk ten dała mi matka... z błogosławieństwem macierzyńskiem... Daję ci go, mości panie, z błogosławieństwem...

*

Chciała powiedzieć jakiem, lecz odpowiedniego nie znalazła przymiotnika. Zacięła się, zająknęła i dodała:

— Niech on cię broni w niebezpieczeństwach... Ojciec mój ma krzyżyk taki... Obyś tak, jak mój ojciec, z niebezpieczeństw wszystkich wychodził... Będę się za ciebie modliła, mości podstolicu...

Wymówiła słowa powyższe tchem jednym, a kiedy podstolic ku niej ręce wyciągnął i, jak się zdaje, odpowiedzieć coś chciał, cofnęła się, uciekła. Widział jeno przez chwilkę migającą w ogrodowej alei jej szatę.

Podstolicowi nie pozostawało nic innego, jak wstać z klęczek, przez mur przeleźć i na gospodę powrócić. Tak też i uczynił. Zaznaczyć jednak tę należy okoliczność, że przyszedł do ogrodu rozkochany po uszy, wyszedł rozkochany wyżej uszów. Starościanka w serce mu zapadła i zapełniła je całkowicie, do myśli zaś tak przylgnęła, że zapanowała w nich wszechwładnie. Medytował i głową kręcił — myślał, jakby to dostać ją sobie za dozgonną życia towarzyszkę. Przeszkód było dużo.

Jmć Łoboda, szlachcic zagonowy, pieczętował się klejnotem Sępa Podkowa i szczycił tytułem podstolica; ale tak klejnot, jak tytuł podlegały wątpliwości niejakiej. Pierwszy istniał w znanych w owym czasie herbarzach, lecz ani w Paprockim, ani w późniejszych naśladowcach jego nie figurowało nazwisko Łobody, zarywające pochodzeniem z naddnieprowych wybrzeży. Drugi odnosił się nie do ojca, a do dziada młodego człowieka i ginął w nieokreśloności jakiejś, nasuwającej domysły i podejrzenia różne. To jeno rzeczą niewątpliwą było, że stary Łoboda posiadał w okolicy Konstantynowa wioskę i poważanie w gronie szlachty miejscowej. Wystarczało to aż nadto na gruncie. Na szerszej jednak widowni, zwłaszcza zaś wobec takiej chętki, jak pojęcie za małżonkę córkę szlachcica z antenatów, potrzeba było czegoś więcej. Należało albo wyrównywać pod względem wartości klejnotu Łączyńskim, którzy, pomimo że ich Paprocki nie zapisał, uchodzili jednak za karmazynów nawskróś karmazynowych, albo też otoczyć nazwisko Łobody glorją czynów głośnych, do których pole otworem stało. Młodemu Łobodzie przedstawiało się to ostatnie jako droga prosta i naturalna, a wcale nie trudna, którą mógł do starościanki dojść. Młody, nie wątpił o sobie.

Nie na rękę mu to wypadło, że wykreślono go z pocztu dworzan wojewody ruskiego. Przy boku wojewody, piastującego w czasie owym wysoki urząd hetmana polnego, pana możnego, wpływowego, czynnego i potrzebującego ludzi, a zatem promującego takowych, odznaczenie się było rzeczą łatwą. Odpadnięcie przeto od niego sprawiło młodemu człowiekowi przykrość niemałą, tem bardziej, że wypadał zarazem z pod dachu, pod którym kwitły wdzięki starościanki. Nie było jednak na to rady. Wojewoda zanadto wojewodzinę czcił, ażeby przyjmować chciał apelacją od jej wyroku. Klamka zapadła.

Łoboda w godzinę po oddaniu Srulowej dziecka znajdował się już z manatkami i pachołkiem w gospodzie, mierzył izbę krokami szerokiemi i ciskał przez zęby klątwy dosadne, rozmyślając nad starościanką i nad przyszłością własną.

— Ha!... nie ma co... trzeba innych szukać bogów...

Do takiej rozmyślanie doprowadziło go konkluzji, która znów ze strony swojej sprowadziła mu apetyt i pragnienie. Kazał podać sobie szczupaka faszerowanego po żydowsku i miodu kufel. Zjadł wieczerzę i spać poszedł.

Przespał się — w głowie mu się rozjaśniło nieco. Rozpytał się ludzi, rozpatrzył się w mieście i człek rycerski rychło znalazł chorągiew pancerną, pod którą stanął. W czasach owych ogromna w Polsce na ludzi rycerskich konsommacja była. Chorągwie kwarciane i pańskie, szarpane ustawicznie, ustawicznie doznawały braków, które uzupełniać potrzebowały. Nie obchodzi nas to, do jakiego mianowiwicie Łoboda młody hufca się zaciągnął. Okoliczność ta pośrednio jeno odnosi się do opowiadania naszego. Dosyć, że wszedł pod sztandar na drugi czy trzeci dzień po wyjściu z zamku, dostał rozkaz wymarszu na dzień taki a taki równo ze wschodem słońca i załatwiwszy się z tem, całą myśl swoję zwrócił na starościankę.

Myśl kreśliła mu w wyobraźni obrazy przyszłości barwami cudnemi. Przedstawiał sobie samego siebie, dobijającego się kochanki przez przeszkód tysiące, które wszystkie łomotał i druzgotał pod nogami; parł się naprzód, rąbał smoki nie smoki na prawo i na lewo, zgartywał w ramiona sztandary zdobyte i składał je w końcu u stóp starościanki. Koniec zaś ów nie wydawał się mu zbyt oddalonym. Nawała zbliżała się właśnie od strony tureckiej (ta, co się sromotnym buczackim zakończyła pokojem). Pewnym więc był swego w przyszłości niedalekiej.

Tymczasem jednak utkwiło mu w duszy pragnienie jedno:

— Widzieć ją!... bodaj zdaleka zobaczyć!...

O tem, żeby mógł z nią mówić, ani marzył. Wiedział, że zostaje pod opieką wojewodziny. Szukał wiec jej po kościołach, tak jednak jakoś nieszczęśliwie, że wszędzie, gdzie ona na modlitwie była, przychodził za późno. Zrozpaczony niemal, nie mając dużo przed sobą czasu, przedsięwziął, wzorem kochanków prawdziwych, bodaj odetchnąć powietrzem, w którem jej tchnienie wiało. Przyprowadzenie przedsięwzięcia tego do skutku, wynagrodziło mu wszystkie niepowodzenia, po kościołach doznane. Przeskoczył przez mur i znalazł się wobec starościanki.

Wiemy już, co nastąpiło dalej.

Wrócił do gospody w uniesieniu istnem. Idąc, ziemi nie czuł pod sobą. Myślał, rzecz naturalna, o wszystkiem i o niczem; a że do tego śmiertelników rodzaju należał, których miłość nie pozbawia ani apetytu, ani snu, więc zjadł należycie, przespał się smacznie i nazajutrz, skoro dzień zaświtał, znajdował się, samowtór z pachołkiem, na drodze wiodącej go na pole zapasów wojennych. Jechał pan Łoboda traktem i przyśpiewywał sobie głośno:

»Puk, puk w okieneczko,
Wyjdź, wyjdź panieneczko...«

Najgłośniej rzucał na echa tę strofę:

»Matki się nie bój, siadaj na koń mój;
Pojedziemy w cudze kraje,
Gdzie są inne obyczaje,
Malowany dwór — malowany dwór.»

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA DRUGA.

CHMIELIŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Treść: Przybycie Bosaka — przegląd — atak na Oksę — bitwa — straty nasze i odwrót — nocleg w Kwilinie — napad i rozproszenie oddziału — Bosak pod Jeziorkiem — utarczka pod Strojnowem — rotmistrz Belardi.

Po kilkudniowych marszach i kontrmarszach z Markowskim, przybyliśmy do wsi Radkowa pomiędzy Włoszczową a Jędrzejowem, gdzie zebrana była nasza piechota i rozlokowana w pobliskim lesie. Roztasowaliśmy się na dobre — o nieprzyjacielu nigdzie nie było słychać i tak w dawno upragnionej spokojności przepędziliśmy dziesięć dni. Chmieliński przyszedł do zdrowia i zajął się energicznie mustrowaniem swego oddziału, który został znacznie powiększony wcieleniem oddziału sformowanego przez jakiegoś Grylińskiego — i nową remontą koni dla kawalerji. W końcu drugiego tygodnia odebraliśmy rozkaz wyruszenia do Dzierzgowa, gdzie naznaczony był punkt zborny ogólny, tak dla wszystkich pojedyńczych komend piechoty jak i dla kawalerji. Tutaj przybył do nas jenerał Bosak (Hauke) i zrobił przegląd całej tej małej armji. Czy był zadowolony lub nie z obrotów wojskowych, czy widział możność dalszego działania i oparcia swoich nadziei na tej garstce niewyćwiczonej ruchawki? Bóg to jeden wiedział. Z twarzy jego zimnej i poważnej, po której kiedy niekiedy sardoniczny przelatywał uśmiech, nic wyczytać nie było można; ani pochwały ani nagany nie usłyszeliśmy. Chmieliński z woli Rządu Narodowego przechodził pod komendę Bosaka, jako naczelnego wodza sił zbrojnych województwa Krakowskiego i Sandomierskiego; pomimo to, pozostał on właściwym dowódzcą i rozkazy wszystkie były przez niego wydawane.

Bosak był to człowiek lat 35 może, dobrego wzrostu i ujmującej powierzchowności, znakomity jeździec. Po rewji, wydano do nas w imieniu wodza proklamację, zakrawającą ze stylu na proklamacje Napoleońskie — zaczynała się bowiem od słów: „Żołnierze z pod Ciernia, Wa-

rzyna, Czarncy i Małchowa etc.“ Miało to być zachętą dla młodego żołnierza i służyć na przyszłość jako środek zagrzewający gorącą wyobraźnię przypomnieniem, jeżeli nie zwycięztw odniesionych w cytowanych miejscowościach, to przynajmniej chwalebnie dokonanej rejterady. Osładzano sobie los i smutną w perspektywie przyszłość, jak można. Proklamacja ta wydrukowana w tysiącznych egzemplarzach, rozrzuconą została po kraju w celu obudzenia zapału i wlania nowej otuchy w upadłych na duchu i zrozpaczonych—i niejeden przeczytawszy takową odezwę gdzieś w Lubelskiem, na Litwie, lub w Warszawie, myślał istotnie, że zwycięztwa te miały miejsce i powstanie wchodzi w fazę tak gorąco oczekiwaną, w perjod pogromów i podboi. *) Oszukiwano się nie powiem czy logicznie, ale z szlachetnym celem i w dobrych zamiarach.

Na drugi dzień otrzymaliśmy wiadomość, że Moskwa zmierza ku nam i znajduje się w Oksy, w liczbie 3. rot piechoty i sotni kozaków. Po obliczeniu wszystkich naszych sił, okazało się, że posiadamy 900 ludzi piechoty i 200 koni kawalerji. Takiej siły Chmieliński jeszcze nie miał. Bosak zaprojektował nie czekać Moskwy, a zaatakować ją w jej własnem legowisku. *)

Projekt został przyjęty i stosowne wydano rozkazy, oraz poczyniono przygotowania. Pozostawiwszy w Dzierzgowie ogniska, dla utrzymania pozoru, że obóz tam istnieje, wyruszyliśmy w nocy około godziny 11. w jak największej cichości ku Oksy. Plan był tego rodzaju:

Ponieważ Moskwa wedle pewnych wiadomości, ulokowała się w podwórzu, otoczonym dosyć wysokim murowanym parkanem i szczelnie zatarasowała bramę, z tyłu zaś były błota i trzęsawiska, na których nawet straży nie postawiła — przeto Chmieliński o drugiej po północy z głównym oddziałem uderzy na folwark od frontu, Gryliński zaś o kwadrans wcześniej, przeszedłszy błota zaatakuje z tyłu. Przedewszystkiem nakazana była, jak największa cisza i spokój. Kawalerja zaś miała stać w odwodzie i oczekiwać rezultatów i odpowiedniego rozkazu.

O drugiej w nocy przybyliśmy na oznaczone stanowisko. Chmieliński zaś na czele piechoty pomknął się pod sam folwark, kazawszy dwom kawalerzystom sobie towarzyszyć. Miałem to szczęście, że mnie wykomenderowano. Posunąwszy się tak blisko, że można było słyszeć co się dzieje na folwarku i nie spostrzegłszy żadnych pikiet moskiewskich, sądziliśmy, że nieprzyjaciela już nie ma. Cicho było jak w grobie. Dech w sobie tamując czekaliśmy tak pół godziny — godzinę — Gryliński wiadomości o sobie nie daje. Zaczynało już świtać i nakoniec placówki kozackie nas spostrzegły i dały ognia, a za chwilę usłyszeliśmy ruch i gwar w moskiewskim obozie. W takim stanie rzeczy, nic innego nie pozostawało, jak niedozwolić na opamiętanie się nieprzyjaciela i uderzyć na niego. Chmieliński wydał rozkaz i z ogólnem hura! piechota nasza poszła do ataku. Do obozu moskiewskiego nie było więcej jak dwieście kroków i za chwilę nasze zuchy, gdyż tak ich wówczas można było nazwać, próbowali wysadzić bramę, nie zważając na straszliwy ogień, sypiący się na nich z za murów, dachów i drzew. Gdyby w tej chwili jeszcze był nadszedł Gryliński i stosownie do ułożonego planu, uczynił w tyle dywersją, kto wie czy najświetniejsze zwycięztwo nie byłoby owocem tego dnia. Zapał podniesiony do entuzjazmu ożywiał nasze szeregi; zdawałoby się, że tem jednem zwycięztwem Polska się wykupi z niewoli. Już brama trzeszczała pod naciskiem atakujących i Moskwa zmięszana niezwykłem męztwem zaczęła się cofać, gdy kapitan Walery Nowicki dowodzący drugą kompanją, rąbiąc siekierą wrota, ugodzony został kulą w piersi. Nacierający zaczęli słabnąć, mięszać się i ustępować powoli do ogrodu, znajdującego się przed folwarkiem. Teraz dopiero nadciągnął Gryliński — usłyszeliśmy bowiem w tyle strzały i cała uwaga Moskwy została tam skierowaną, ale w kilka minut zapanowała cisza, przerywana kiedy niekiedy pojedyńczemi wystrzałami. Gryliński jak późno przyszedł, tak jeszcze prędzej cofnął się — i Moskwa cały ogień znowu zwróciła na nacierających, którzy wciąż stali w ogrodzie. Z tąd powoli zaczęto ustępować. O nowym więc ataku nie można już było myśleć. Piechota nasza aczkolwiek nie ścigana przez nieprzyjaciela, ustępowała coraz pospieszniej i w nieszczególnym porządku. Moskwa jednakże chociaż widziała rejteradę, tak była przestraszona, że z ogrodzenia swego nie ruszyła się na krok, prażąc tylko ustępujących celnym i dobrze utrzymanym ogniem.

W trakcie najgorętszej bitwy pod bramą, Chmieliński dał mnie polecenie udać się do kapitana Tylmana, z rozkazem zajęcia stojącego nieopodal domku, z którego Moskwa strzałami swemi, zabójcze nam zadawała ciosy. Puściłem się co koń wyskoczy i rozkaz wygłosiłem Tylmanowi, stojącemu nie dalej, jak o kroków pięćdziesiąt od głównych wrot. We wszystkich bitwach całego powstania, w których miałem udział, nie obsypało mię tyle kul ile pod temi wrotami — i pomimo tego gradu i blizkości, Bóg mnie salwował szczęśliwie. Koń mój dostał postrzał w szyję i ogon— kula przeszyła mi czapkę dwa razy i mundur pod pachą, a ciało zostało nie naruszone.

Bitwa ta trwała od godziny pół do 4. do 12. w południe. Zdawałoby się to niepodobnem, armje tysiączne rozstrzygają los bitwy daleko prędzej, a cóż tu taka garstka mogła się tak długo bawić w tę krwawą zabawkę. Jednakże tak było i zdawało nam się, że to wszystko trwało nie dłużej jak godzinę, tak czas w silnem zajęciu prędko ubiega. Rannych i zabitych mieliśmy około stu ludzi. Moskwa oczywiście daleko mniej, dzięki ochronnemu i zakrytemu położeniu.

Powodem opóźnienia się Grylińskiego na wskazane mu stanowisko, było to, jak się tłómaczył, że pobłądził w lasach otaczających Oksę, lecz prawdopodobniej brak szczerej chęci, odwagi i ogólne niedołęztwo. Po bitwie pod Oksą, Gryliński zaraz wyjechał i co się z nim zrobiło, nie wiem.

Bitwa pod Oksą była może w całem powstaniu jedyna (?), gdzie role się zmieniły. Atakowaliśmy nieprzyjaciela, zamiast jak to powszechnie bywało w powstaniu, oczekiwać napaści z jego strony. Odwaga piechoty, ktorej przypatrywałem się z blizka, była jak w powstańcach, wojsku niewprawnem i niewyćwiczonem, czemś niezwyczajnem, budzącem podziw nawet nieprzyjaciela — i gdyby plan napadu był dosłownie wykonany, zwycięztwo byłoby pewne. Dziwna rzecz, ci sami ludzie w innych bitwach nie mieli i połowy tego męztwa i bili się daleko gorzej. Pokazuje się, że być zaczepionym a zaczepiać samemu, jest wielka różnica — i zmiana ta, wpływa przeważnie na odwagę ludzką, czyni żołnierza śmielszym i pewniejszym siebie.

Z pod Oksy cofnęliśmy się o pół milki do Kwiliny, a Chmieliński zaufany, że Moskale nie odważą się iść w pogoń, kazał rozłożyć się obozem i gotować jeść. Ściemniało się, a ja jakby przeczuciem wiedziony, nie naśladując przykładu drugich, którzy swobodnie konie rozkiełzali, położyłem się obok szkapy, trzymając lejce w ręku. Nie było więcej, jak godzina ósma wieczorem, gdy pada strzał na pikiecie i jednocześnie z tem, słyszymy rotowy ogień piechoty moskiewskiej, która się podkradła pod sam obóz prawie. Zamięszanie powstało okropne, ścisk, hałas, jęki rannych a to wszystko pod silnym ogniem nieprzyjacielskim, słowem opłakany obraz. Chmieliński na wpół ubrany, ledwie zdążył siąść na konia, a ja z pomiędzy tłumu uciekających, furgonów i biegających koni, długi czas nie mogłem się wydostać. Panującej jedynie ciemności zawdzięczamy, że nas nie rozbito do szczętu i połowy nie wzięto do niewoli. Gdyby Moskale przyszli byli dwiema godzinami później, zastaliby nas na dobre śpiących i noga nasza by nie wyszła. Taki był koniec świetnie rozpoczętego dzieła, pochodzący jedynie z nieostrożności i zbytku zaufania. Dowodzący moskiewskim oddziałem major Bentkowski, dowiedziawszy się, że odpoczywamy o pół mili i zgadując, że nie przypuszczamy nawet, aby on ośmielił się nas dziś jeszcze atakować, w cichości wyruszył na nas i oddał nam rewizytę. Udało mu się lepiej jak przewidywał. Zabrał wszystkie furgony, masę koni, amunicji i zapasów wojskowych, a co najważniejsza, że rozproszył zupełnie oddział, który już nigdy do przeszłej swej siły i liczby nie przyszedł.

Na drugi dzień rano, zaczęliśmy się ściągać do Radkowa z różnych stron i koncentracja ta trwała ośm dni, w ciągu których nie byliśmy niepokojeni, był więc czas do jakiego takiego zorganizowania się i ułożenia dalszego planu. Z powodu znacznego uszczuplenia w ostatnich potyczkach piechoty, pozostałym resztkom Chmieliński kazał się udać w lasy Što-Krzyzkie, dokąd z kawalerją za parę dni sam miał podążyć. Czuliśmy, że okoliczności przybierają coraz niewygodniejsze rozmiary, że krąg naszego działania co raz więcej się ścieśnia. Moskwa zawzięcie nas ścigała i nie pozwalała jak dawniej na tygodniowe odpoczynki i swobodne kompletowanie się, było co raz ciaśniej, a działo się to na schyłku września i zimna, szczególniej nocami, dotkliwie się nam dawały uczuwać.

Jenerał Bosak po bitwie pod Oksą, zaraz na drugi dzień odjechał do Krakowa, gdzie czekał na niego zupełnie usztyftowany oddział, składający się z 400 ludzi piechoty i 100 koni jazdy. Z oddziałem tym w kilka dni później przeszedł granicę, lecz pod Jeziorkiem około Opatowa został rozbity przez Czengierego, a niedobitki schroniły się w okoliczne lasy. Chmieliński więc powziął zamiar połączyć się z nimi,

*) Czy proklamacja ta w istocie była drukowaną, pozwalamy sobie wątpić. Chmieliński nie miał przy sobie drukarni — a samą odezwę czytał adjutant z rękopismu. Nie mogła więc rozejść się po kraju i ani na Litwie, ani w Lubelskiem, ani w Warszawie nie widziano jej wcale.

*) Musimy tu zrobić uwagę, że Moskale wówczas wyszli z Kielc pod wodzą majora Bentkowskiego nie w celu atakowania Chmielińskiego, ale w celu ekzekucji zaległych podatków.

(przyp. wydawcy.)

i w tym celu wysłał najprzód swoją piechotę pod wodzą Tylmana. Resztki zaś kawalerji Bosaka pod dowództwem Edelstejna, składające się z 30 ludzi, połączyły się z nami, a niedługo przybył i sam Bosak.

Wychodząc z Radkowa skierowaliśmy się do Sędziszewa, tu chwilkę odpocząwszy i mając ciągle Moskwę na karku, ruszyliśmy dalej przez Trzciniec, Nawarzyce i Motkowice. W Maleszowy zatrzymaliśmy się na popas, ale niebawem nadciągający nieprzyjaciel pchnął nas dalej ku lasom Święto-krzyzkim. Moskwa tak z blizka nas napierała, że już w lasach postępujące za nami furgony zabrała. Wychyliwszy się z lasu, ujrzeliśmy przed sobą pola należące do Strojnowa. Konie po dwudniowym nieustannym marszu były strasznie znużone. Chmieliński więc kazał przystanąć w Strojnowie, atoli nie upłynęło i pół godziny, kiedy pada strzał na pikiecie. Porwaliśmy się do koni i zaledwie zdołaliśmy uformować się, gdy ujrzeliśmy posuwających się dragonów w bojowym szyku i mnóstwo kozaków. Byliśmy na czystem i równem polu, jakby umyślnie przygotowanem dla kawaleryjskiej walki.

Chmieliński uformował nas w dwa rzędy i sam z Bosakiem stojąc na czele, oczekiwał ataku. Ten wyciągnięty front i gotowość przyjęcia bitwy, zachwiała widocznie postanowieniem nieprzyjaciela. Nieraz miałem sposobność przekonać się, że każda nasza śmiała postawa czyniła Moskali niezdecydowanymi i mieli minę, jakby chcieli stchórzyć i drapnąć. Taki wypadek obecnie miał miejsce. Staliśmy tak blizko siebie, że rozróżnić można było twarze wzajemnie, a ani jedna, ani druga strona nie gotowała się do stanowczego kroku. Pojedyńczo tylko tu i tam wyjeżdżano na harce i strzelano do siebie z karabinów i pistoletów, próbowałem i ja cztery razy swego rewolweru, zdaje się atoli, że bez skutku. Bosak znowu nie wyjąwszy nawet szabli, podskoczył do zbliżającego się dragona i ciął go w twarz pejczem. Mógł był jednakże drogo przypłacić swoją brawurę, dragon spiął konia i najechawszy go z szablą w garści, zamierzył się już do zadania ciosu, gdy strzał pistoletowy stojącego opodal kawalerzysty zwalił go z konia. Pojedyńcze te harce ciągnęły się z pół godziny, gdy naraz widzimy dragonów rozstępujących się w lewo i prawo, i strzał armatni jeden, drugi, trzeci, pada w środek naszego odsłoniętego frontu, robiąc straszliwe spustoszenia. Była to polowa artylerja kozacka, która nadbiegła na pole bitwy. To zmięszało nasze szyki odrazu, co widząc Bosak, jak również przypuszczających na dobre atak dragonów, i nauczony smutnem doświadczeniem pod Jeziorkiem, gdzie omal żywcem nie wpadł w ręce moskiewskie, zwrócił konia i puścił się pędem ku widniejącemu w dali lasowi. Powtórzyła się scena z pod Czarncy. Tych co mieli słabsze konie i zostawali w tyle, dojeżdżano i rąbano bez litości, a artylerja pędząca cwałem, od czasu puszczała swoje kule. Do lasu było dobre cztery wiorsty. Dojeżdżając już do takowego, uczułem pchnięcie, które ześliznęło się po mojej sukmanie i tuż nad sobą kozaka. Odwinąłem się i ciąłem go na odlew przez twarz, potoczył się z konia zbroczony krwią. Dojeżdżaliśmy do lasu, Moskale zaczęli zwalniać w pogoni już na parę staj wprzódy i w końcu zupełnie stanęli. W lesie zwolniliśmy w biegu i manowcami doszliśmy do miasteczka Kunowa, strudzeni, zbici, głodni i zupełnie upadli na duchu. Tutaj dowiedzieliśmy się, że Moskale nie cofnęli się, lecz stoją o parę wiorst od nas.

Pamiętam w czasie ucieczki zabawną scenę. Rotmistrz nasz Belardi, z nieodstępną fajeczką w rękach, galopował na swej szkapie z taką zimną krwią, jak gdyby ta gonitwa była popisem wyścigowym a nie groźnym pościgiem. Kozak dojeżdżając go z tyłu, krzyczał: „nie ujdiosz lach sobaka!“ — „ujdu!“ — odpowiedział Belardi i smagnął szkapę batem. — „Niet, nie ujdiosz lach!“ — „ujdu!“ — i tak sobie rozmawiając w przyzwoitej odległości, bo na długość piki kozackiej, poczciwy nasz Niemiec, któremu nawet fajka nie zgasła w tej krytycznej chwili, miarowym galopkiem uszedł przed kozakiem. Przed lasem, gdy już pogoń ustawała, odwrócił się do kozaka i wyszczerzając zęby, krzyknął: — A szczo, mówił tobie ruska świnia, że będzie ucieknąć glupia kozak, chodź teraz, ubić na rotmistrz Belardi!

Wezwaniu temu widocznie kozak nie uważał za stosowne odpowiedzieć, zostawiając Belardiego panem pola bitwy i przekonania, że dobrze, z zimną krwią uciekać nie każdy potrafi.

(C. d. n.)

KRONIKA NAUKOWA.

Edisson tak opanował w przeciągu dwóch lat umysły całej Europy, że gdybyśmy słyszeli o stu wynalazkach jego na dzień, powiedzielibyśmy, że Edisson wszystko zrobić jest w stanie. Pisma donosiły, że „wielki ten fizyk“ 1878 r. miał już 2.800 patentów i przywilejów na takąż ilość wynalazków i odkryć. Rozumie się, że wiadomości te wszystkie przypływały do nas z za oceanu, mimo to nikt nie powątpiewał o ich prawdziwości, a sława „wielkiego Edissona“ nabierała coraz większego blasku. W kwestji telefonu kursowały jeszcze pewne spory, z chwilą jednakże, gdy się fonograf pojawił, wszystko znikło. Potęga tego wynalazku — jak pisały gazety — nie może być nawet w przybliżeniu określoną. Fonograf uznano serjo za jeden z najpotężniejszych wynalazków, „którego rezultaty są nie do uwierzenia...“ Zaledwie jednak minęło kilka miesięcy, a już fonograf przeszedł do drugorzędnych kurjozów, zjawiających się tylko w muzeum Lenta. A stało się to w ten sam sposób, jak i z innemi edyssonowskiemi wynalazkami, o których niepraktyczności się przekonano.

Niedawno jeszcze zaledwie kaczka dziennikarska pod formą fantastycznej lampy Edissona wstrząsnęła powagę amerykańskiego wynalazcy. Lampa ta, podług słów amerykańskich gazet, miała zastąpić wszystko, co było dotąd widziane i słyszane w systemie oświetlenia. Lampa miała kosztować 30 kop. Dawała światła od 1—400 świec, zależało tylko od odkręcenia kranika! Oświetlenie to kosztowało „od 2 do 3 cnt. na rok.“

Istotnie trudno już chyba o coś bardziej wielkiego, doskonalszego i tańszego. *Światło czterystu świec za 2 cnt. na rok.*

Niedługo jednak to trwało. W dwa miesiące później okazało się, że ta nowa lampa, ten wynalazek niedościgniony na polu nauki, tak pięknie w praktyce dający się zastosować, jest ni mniej ni więcej jak tylko homerycznym pufem amerykańskiej wielkości.

Jednym z nowszych wynalazków jego jest kolej elektryczna. O ile jednakże poznać można z rysunku i opisu pomieszczonego w *Scientific Americane*, to kolej ta o bardzo mało się różni od takiejże kolei wynalazku dra Siemensa. Edisson używa dwóch drutów przewodnich, przysyłających strumień elektryczny do lokomotywy, dr. Siemens zaś jeden z nich w swym wynalazku stosuje do odwrotnego przeprowadzenia strumienia z lokomotywy. Zresztą koleje te są do siebie zupełnie podobne. Przypuszczamy więc, że dr. Siemens wejdzie w prawa swego przywileju.

Wszystko to wszelako, cośmy powyżej wspomnieli o wynalazkach Edissona, jest niczem w porównaniu z jego najnowszym cudem przezwanym przez niego „mechanicznym ptakiem“, który prawdopodobnie należy do gatunku (smacznych tylko na półmisku) kaczek... Mechaniczna istota, jak z nazwiska widać, ma przebiegać przestrzenie powietrzne z nieznaną dotąd nikomu szybkością. Wszelkie kurjery i ekspresy w porównaniu z tym „ptaszkiem“ posiadają zaledwie pośpiech żółwi. Pomyślcie tylko, że ten ptak fasonu kolosalnego cygara, zaopatrzony z frontu w ostry koniec, aby mógł łatwiej rozdzielać powietrze, przebywa w ciągu mniej więcej 11-tu godzin przestrzeń z Nowego Yorku do Paryża! Podróż zaś z Nowego Yorku do Moskwy nie powinna dłużej trwać nad 24 godzin!..

— Jakiej w przybliżeniu wielkości jest ta maszyna? — zapytał Edissona reporter *Daily Graphic* (zkąd też poczerpnięte są te wiadomości).

— Pierwsza — odpowiedział Edisson — będzie niewielka. Następnie naturalnie będą większe, aby mogły przenosić moc pasażerów między takiemi miastami jak Nowy York, Paryż Londyn, Konstantynopol, Jokahama, San Francisco i t. d.

— A ile par skrzydeł będzie miała pańska maszyna?

— Duże maszyny będą naturalnie zaopatrzone w kilka par skrzydeł, mniejsze zaś w jedną tylko.

Na jedno jednak pytanie Edisson żadnemu z ciekawych i reporterów żadnej zupełnie nie daje odpowiedzi. Jaka siła mianowicie będzie w ruch wprowadzać ten aparat. Istnieją przypuszczenia — bardzo poważnie traktowane w *Daily Graphic* i *l'Aéronaute* — że Edissonowi udało się ścieśnić powietrze do tego stopnia, jakiego nikt dotąd nie był w stanie osiągnąć.

„Według obliczenia Edissona — powiadają wyżej wzmiankowane gazety—maszyny taka może zaopatrzyć się w zapasy na dwie doby. Maszyny największe będą posiadały wspólny pasażerski salon i kilka kajut oddzielnych. Przy dłuższych podróżach np. trwających więcej niż 48 godzin, można brać mniej pasażerów, „a zato większy zapas poruszającej siły“(?). Zresztą podróże takie są zupełnie zbyteczne, ponieważ do wszystkich punktów kuli ziemskiej można przybyć w mniej niż 48 godzin(!).“

Sądzimy, że opis tego „nadpowietrznego cygara“, jak na początek jest dość wyczerpujący, mamy bowiem niepłonną nadzieję, że ten wielki amerykański wynalazek niedługo jeszcze jaśniej się wytłumaczy, ale chyba tylko przy lampie Edissona...

* * *

Juliusz Hirsz, znany specjalista wiedeński w przedmiocie oświetlenia gazowego, od czasu do czasu ogłasza wyniki swych badań na długoletnich doświadczeniach oparte.

Z okoliczności ciągłych utyskiwań na wzrastające koszta tego rodzaju oświetlenia, twierdzi, że oprócz przyczyn z winy przedsiębiorców gazowych wynikających, jakiemi są przedewszystkiem niezależnie od złej wiary w obliczaniu należności, pośledni gatunek światła, są jeszcze przyczyny z nieoględności samych spożywców wynikające.

Barwa ścian w mieszkaniach wpływa więc znacznie na ilościową doniosłość spożycia gazu.

Doświadczenia czynił Hirsz między innemi w lokalu złożonym z dwóch jednakowego zupełnie wymiaru pokojów.

Ściany jednego pokryte były ciemno-karmazynowem, drugiego jasno-żółtem obiciem; wówczas gdy jedna lampa gazowa wystarczała na dostateczne oświetlenie żółtego, w ciemnokarmazynowym było mniej jasno przy dwóch gorejących lampach.

Ztąd oczywisty wniosek, że koszta oświetlenia pokoju z obiciem ciemnem, dwa razy najmniej są większe aniżeli z obicem jasnem.

Toż samo stosuje się i do mebli znajdujących się w mieszkaniach.

Stopniowanie barw ciemnych odnośnie do wzrastających kosztów oświetlenia są następujące: czerwona, zielona, niebieska, fioletowa, brunatna, czarna (używana na meble).

Salon obity papierem ciemnoniebieskim wymaga pięć razy więcej światła niż salon żółty.

Między jasno a ciemno niebieską różnica stanowi 40%.

W cyfrach różnice te przedstawiają się jak następuje:

Barwa	*Koszta oświetlenia.*
Ciemno-niebieska . .	500
Jasno-niebieska . . .	300.
Jasno-żółta	100.

W lokalnościach publicznych jakoto: cukierniach, kawiarniach, restauracjach itp. miejscowościach, najwłaściwsze pokrycie ścian jest białe, białe ze złotem przy zastosowaniu licznych zwierciadeł.

Niewielka stosunkowo ilość płomieni daje doskonały skutek tem pożądańszy, że oprócz oszczędności nie oddziaływa nieznośnie na podnoszenie się temperatury.

Praktyczni Francuzi wybornie to zrozumieli, dlatego też we wszystkich kawiarniach francuskich uderza mnogość zwierciadeł, szyb i ozdób złoconych na tle wyłącznie białem.

Przed wielkiemi magazynami pp. Filipa Haas i Synowie, na Grabenie w Wiedniu, stoją dwa wspaniałe kandelabry, każdy o 4-ch płomieniach; na stronie zaś przeciwległej mieści się zwyczajna latarnia gazowa.

Każdy przechodzień z łatwością dostrzeże, że ta jedna latarnia więcej daje światła aniżeli dwa kandelabry, z ośmioma umieszczonemi w nich płomieniami.

Zkąd, to pochodzi?

Ztąd, że latarnia oszklona jest zwykłem szkłem grubem, czystem, używanem na szyby w oknach, a płomienie w kanadelabrach osłonięte są dzwonami ze szkła tak zwanego kościanego, czyli kość słoniową naśladującego.

Otóż doświadczenia wykazały, że natężenie światła słabnie pod pokryciem szkłem przezroczystem o 10%, szkłem matowem szlifowanem o 30%, pod szkłem matowem nieszlifowanem i pod zwykłem szkłem mlecznem o 50 %, pod szkłem mlecznem nieszlifowanem o 60%, a pod szkłem kościanem o 80 %, czyli że jeżeli dla oświetlenia salonu za pomocą płomieni odkrytych potrzeba 20 płomieni, to płomieni z pokryciem ze szkła zwyczajnego potrzeba 22 matowych, szlifowanych 28, ze szkła mlecznego 50, a ze szkłem kościanem 70—100, czyli wyrażając to w cyfrach pieniężnych, koszta oświetlenia wzmagać się będą w stosunku następującym: 100, 110, 140, 200—250, 350—500.

Dodać należy, że te wszystkie udoskonalenia gatunków szkła w celu ochronienia wzroku są bezowocne, gdyż szkło np. kościane wytwarza cień czerwonawy, a dobre światło powinno być zupełnie białe. *N. K.*

ROCHEFORT.

W przeddzień święta narodowego francuskiego wjeżdżał tryumfalnie do miasta Paryża Henryk Rochefort, wracający z wygnania. Powóz najęty, w którym on siedział, posuwał się zwolna, krok za krokiem, gdyż ze wszech stron cisnął się lud, witając wygnańca i tysiączny głos powtarzał słowa: „Vive Rochefort!“ Zresztą nie odezwał się żaden okrzyk rewolucyjny, nic nie naruszyło porządku, jedynie śpiewy patrjotyczne urozmaicały tę chwilę powitania. Nawet jego nieprzyjaciele polityczni witali go, gdyż każdy umiał uczcić radość wygnańca, który po dziesięcioletniej nieobecności wracał na ziemię ojczystą.

Jakie też uczucia musiały nim owładnąć, gdy ujrzał zapał swych współbraci, gdy z okien i balkonów powiewały sztandary narodowe, gdy powitał posąg republiki, stojący na placu niegdyś Chateau d'Eau — republiki, za którą walczył i cierpiał! W takiej godzinie z nadmiaru radości musiał on przebaczyć i zapomnieć o całej nędzy wygnania. Wprawdzie z jego twarzy trudno było wyczytać to wrażenie. Jego markowane rysy twarzy zostały przez doznane nieszczęścia i czas ubiegły jeszcze wybitniej nacechowane i pomarszczone. Był on wzruszony i dziwnie zmieniony, lecz może ten wjazd wpłynął tak na niego. Ostro zakończona broda, wystające kości policzkowe — wszystkie te kanty i kąty, tak charakteryzujące niegdyś Rocheforta — są złagodzone i zaokrąglone przez ciało. Pięćdziesiąty rok życia zdradza się srebrnym włosem, który jasno odbija wśród niegdyś lśniących czarnych kędziorów, lecz póki te małe, żywe oczy świecą się jak żarzące węgle, twarz pozostaje młodzieńczą. To wysokie czoło i usta, około których wije się uśmiech sarkastyczny, pozostały te same. On jeszcze zawsze ma twarz ucharakteryzowaną do swej roli „człowieka swych czynów“, jak mawiają Francuzi, ta sama ostra ironja, ta sama zjadliwa satyra, ten sam uosobiony Pasquill pozostał jak dawniej.

Aby Rocheforta ocenić, nie powinniśmy widzieć w nim polityka, tylko dziennikarza, tylko polemizującego. Jego prawdziwi przodkowie nie są hrabiowie de Rochefort-Lucay, lecz Rabelais, Bussi Rabutin, Voltaire, Paul Louis Courrier. I podobnie, jak wcześnie odrzucił swe drzewo genealogiczne, by się li chlubić plebejskiem pochodzeniem matki, tak też rzucił w kąt lirę po pierwszem powodzeniu. Zapewne czuł dobrze, że nie jest stworzony ani na łagodnego liryka, ani na dowcipnego komedjopisarza, więc śmiało uchwycił pióro dziennikarskie. Już w pierwszych swych fejletonach w Charivari i Nain jaune, zaznaczył wybitnie swój znakomity talent, lecz nadał artykułom barwę polityczną dopiero w swych „Chroniques“, umieszczanych w opozycyjnym naówczas „Figarze“. Ten pierwszy krok jego na nowem polu odznaczył się mistrzowskiem cięciem: „La France compte trente six millions de sujets, sans compter les sujets de mécontentement.“ Cesarz tak dalece irytował się tym dowcipem, że zastraszono bojaźliwego Villemessant'a zamknięciem dziennika, gdyby nie oddalił z redakcji śmiałego krytyka. Stało się zadość życzeniu rządu, a gdy żaden z dzienników nie chciał przyjąć niebezpiecznego współpracownika, postanowił Rochefort założyć własny dziennik i sam jeden stanął jako odpowiedzialny redaktor. Praktyczny Emil de Girardin, podczas antraktu, dał mu tytuł, format i cenę założyć się mającej „Latarni“. Powodzenie było bezprzykładne. Pierwszych jedenaście numerów zostały odbijane w 125,000 egzemplarzach. Jeden z naocznych świadków z 1868 r. zapewnia, że każdy Paryżanin miał w ręku tę czerwoną książeczkę. „Na każdym kroku spotyka się mężczyzn z „Latarnią“ w ręku, zatopionych w czytaniu jeszcze mokrych kartek. Nawet kobiety czytały na ulicach. Piętra omnibusów równały się koszykom poziomek, a bulwary ogrodowi róż.“ I każdy podziwiał jego jasny, logiczny styl, jego brylantowy, ostry dowcip, jego morderczą satyrę. Jego pióro zawsze zimne a ostre, jak ostrze sztyletu, smagało śmiało całą nędzną kamarillę, a nawet koronowanego uzurpatora nie poszanowało. Dwór rzucał się w największym gniewie. Rochefort musiał odpowiadać za każde swe słowo życiem, a większa część jego dwudziestu pojedynków, które się wszystkie nieszczęśliwie dla niego zakończyły, przypada na ten czas. Dwa wyroki skazujące go po pięć lat więzienia i kara 10,000 franków, zmusiły go po pierwszych numerach do ucieczki. Osiadłszy w Belgji, prowadził dalej walkę przeciwko „człowiekowi ze słoniną na kapeluszu“ — była to alluzja do łakotki dla orła w czasie udaremnionego zamachu w lasku bulońskim — a walczył skrzącym dowcipem i nieustraszoną śmiałością. Tam połączył się on z wygnanym Wiktorem Hugo i jego synami, a następstwem tej przyjaźni było założenie radykalnego a opozycyjnego dziennika „Le Rappel“, który przeniósł całą walkę znów na ziemię francuską. Gdy przyszedł czas nowych wyborów w r. 1869, został Rochefort obrany do zgromadzenia prawodawczego 18,000 głosów. Jak olbrzymie wrażenie zrobił ten wybór w kraju, dość powiedzieć, że na giełdzie spadły papiery rządowe o jeden frank 25 centimów. Cesarz stłukł z gniewu pierwszą wpadłą mu pod rękę wazę chińską, a jego towarzyszka ukoronowana, otrzymawszy tę wiadomość podczas pobytu w Egipcie, zemdlała. Cesarstwo straciło głowę z chwilą wejścia Rocheforta do parlamentu.

Powróciwszy do Paryża, założył dziennik „Marseillaise“. Książę Piotr Bonaparte wyzwał naczelnego redaktora na pojedynek za umieszczony artykuł i zabił Wiktora Noir'a, jednego ze świadków Paskala Grousset'a, który chcąc

wyzwać księcia, uprzedził wyzwanie Rocheforta. Nastąpił pogrzeb Wiktora Noir'a. Rochefort wezwał lud do broni i został uwięziony. Dzielnice robotników groźnie się poruszyły. Rząd chcąc uniknąć bratobójczej walki, rzucił się na Niemców. Rochefort wymierzył raz tak silny cesarstwu, że ono w logicznem następstwie faktów, musiało upaść.

Młoda rzeczpospolita przypomniała sobie natychmiast więźnia. Dnia 4. października uwolnił go lud z więzienia i z tryumfem prowadził do ratusza. Pamflecista nic już nie miał do roboty. Siła, która ciągle przeczyła i niszczyła, chce teraz budować. Lecz już 31. listopada wziął on dymisję jako dotychczasowy członek rządu. Jego przyjaciel, Herman Delisle, żywemi barwami kreśli zdarzenia dnia tego, w którym lud zgromadził się tłumnie przed ratuszem, by znów rząd obalić, albo też zmusić go do nowej wycieczki za mury miasta. „Rochefort zstępował ze schodów ratusza, rzucił okiem na falujące tłumy i usiadł na krześle. Nastała uroczysta cisza. Widzowie, którzy zajęli plac cały, wstrzymali swój oddech. Rochefort mówił... ludzie lubują się w twierdzeniu, że on nie jest mówcą. Być może, że to jest prawdą w zwykłych czasach. Lecz w owym dniu podczas całej, długiej godziny znalazł on słowa godne trybuna ludu i trzymał tłumy czarem swej wymowy. Co chwila odzywały się okrzyki: „Niech żyje Rochefort! Tylko jego chcemy!“ On nakazał spokój, usprawiedliwiał swych towarzyszów rządu i zapewniał, że on sam stanie w pierwszych batalionach, jako prosty żołnierz walcząc za honor Francji i Republiki, jeśli obrona Paryża będzie prowadzoną bez energii. Rochefort był godny podziwienia. Widzę go jeszcze: bledszy niż zazwyczaj, gęste jego kędziory rozwiewały się na głowie, z czoła lał się pot, oczy miał zamglone, energiczna twarz była zmienioną a ruchy były pełne dumy. Częstokroć był zmuszony oprzeć się na mem ramieniu, umilknąć i splunąwszy krwią odetchnąć głęboko. Potem znów rozpoczynał mowę. Lecz tłum, który się gromadził coraz liczniej, zaczął napierać pierwsze szeregi, tak, że te, chcąc uniknąć uduszenia, cisnęły się na schody i swoją falą porywały mówcę. Ratusz został szturmem zdobyty. Przy okrzykach: „Niech żyje Rochefort! — precz Trochu!“ odnieśliśmy bohatera tego dnia do domu; spieczona krew pokrywała mu usta, był bardzo osłabiony po tej straszliwej godzinie i zaledwie oddychał. Dość było jednego słowa Rocheforta, a byłby panem całego Paryża.“

Po upadku stolicy został obrany do zgromadzenia narodowego w Bordeaux i znów wziął dymisję, nie chcąc podpisać odstąpienia Alzacji i Lotaryngji. Wrócił do Paryża. Nie ulega wątpliwości, że pisał on w tym czasie ostre artykuły, które fatalnie oddziaływały na wzburzony i podejrzliwy lud paryzki. Wietrzono spiski w Bordeaux a rojalistyczne knowania w Wersalu i porwano się do broni. W dniu 18-ym marca, w chwili wybuchu nowej rewolucji, nie brał on żadnego udziału, lecz jako prezydent komisji barykadowej i w dzienniku Mot d'Ordre zwalczał komunę, podobnie jak poprzednio bronił „Walki na noże“ Gambetty. Jego własny dziennik wytrwale walczył przeciw insurgentom. Jak niegdyś dwór traktował, tak teraz czerwonych panów Paryża. Ci poszukiwali już odstępcę. Aby nie zostać uwięzionym lub nawet rozstrzelanym, uciekł z Paryża, a poznany w Meaux zostaje wydany zgromadzeniu narodowemu, które właśnie postanowiło stłumić zbrojne powstanie. Postawiono go przed sąd wojenny i musiał on zaiste nie być winnym żadnej zbrodni, prócz przekroczenia prawa prasy, gdy go ci rozwścieczeni i namiętni sędziowie li na deportację wskazali. Dopiero 10. sierpnia 1873 r. po upadku Thiers'a a zwycięztwie reakcji z 24 maja, wysłano Rocheforta na suchą gilotynę do Nowej Kaledonji.

Niemożliwość się powiodła. Ze swymi przyjaciołmi: Paskalem Grousset, Olivierem Pain, Bailliére, Jourde i Granthille zdołał on uciec. Pierwszy jego artykuł datowany w New-Yorku był umieszczony w szpaltach New-York Heraldu. W krótkim czasie setki tysięcy tłómaczenia francuskiego rozbiegły się po Francji i Belgji. Rochefort osiadł w Londynie, a pierwszy numer nowej Latarni ukazał się 4. lipca 1874 r. Jest on dziś taką rzadkością, że paryzcy bibljofile kupują go na wagę złota. Znakomity wstęp tchnie dawnym duchem:

„Było to pięknego poranku kwietniowego. Właśnie zabiłem przed chwilą mego ojca. Dwoje mych dzieci, przywiązanych do łóżka wiły się w konwulsjach z głodu, podczas gdy ja sam w dobrym humorze siedziałem za stołem zastawionym srebrnemi talerzami, skradzionemi w ministerjum spraw zewnętrznych i piłem ze świętych naczyń muszkatelowe wino, które i wam polecam. Właśnie zamierzałem zeszłego wieczoru kilka złotych monstrancyj zabranych w kościele Notre-Dame spieniężyć, lecz kryzys giełdowa była zbyt wielką i zaledwie z wielkim trudem otrzymałem 100,000 talarów za bronzy wzięte z domu p. Thiers'a. Owych 600,000 franków zarekwirowanych z banku narodowego puściłem w rozpustnych orgjach i w tej chwili uplanowałem sobie zrobić olbrzymią operację pieniężną na obrazach z Louvru, gdy otrzymuję list z poczty, w nim bilet na tysiąc franków i te słowa: „Tak się mszczą Bonapartowie!“ Było to dziełem cesarzowej Eugenji, która na wieść o mem fatalnem położeniu przysłała mi wsparcie. Gdybym chciał w ten sposób opisywać polityczne zdarzenia, w których brałem udział, to bezwątpienia zapytaliby mnie moi czytelnicy, czy rzeczywiście jestem ja Katiliną, bym tak nadużywał ich cierpliwości. Ale wymienione dowcipy były — nie — są jeszcze po dziś dzień i będą przez długi czas z całą powagą potwierdzane, omawiane i komentowane przez gitarzystów reakcyjnej prasy. Autorowie mniej poczytni chętnie spychają całą winę swej głupoty na spisek milczenia. (Conspiration du Silence). Gdybym miał najlżejszą ochotę do roli ofiary, w takim razie całe me niepowodzenie przypisałbym spiskowi kłamstwa. Gdy okazałem współczucie nad patrjotyczną śmiercią pułkownika Rossel'a, ogłosiły dzienniki, że ja propaguję publiczne odstępstwo od sztandarów. Potrzebuję jedynie zażądać bezpłatnego przymusowego uczenia, by być oskarzonym i przekonanym o naruszenie osobistej wolności, a jeśli żądam dla Francuzów tych gwarancyj i wolności, które znalazłem u Indjan na morzu południowem, to nazywają mnie ludojadem. Na szczęście przypomniałem sobie równocześnie, że Garibaldi z trybuny zgromadzenia narodowego w Bordeaux był haniebnie sponiewierany, że Cobden'a, Johna Bright'a obrzucono błotem całej Europy, że nazwano Prudhon'a oszukańcem, Gambettę zdrajcą a Bazaine'a człowiekiem honoru, więc uważałem to za zaszczyt otrzymać skromniutkie miejsce na szarym końcu, na tym kongresie zwymyślanych. Również nie mogę zapomnieć, że pierwsze numera pierwszej Latarni zostały przez prasę przyjęte drwiącym śmiechem, a przez policję śmiertelnemi razami. Nazywano mnie powszechnie potwarcą kobiet, gdyż posiadałem odwagę znaleść to dziwnem, by Hiszpanka bawiła się jeżdżąc powozem państwa i sama kierowała go swą drobną rączką. Wówczas niektórzy z polemizujących uważali jako najwyższy stopień tchórzostwa dotknąć cesarza siedzącego na tronie, wpośród jego gwardji przybocznej, a zaledwie dwa lata później, gdy on już upadł, ci sami rzucali się na niego gwałtowniej, aniżeli na mnie w owym czasie, gdy on stał jeszcze.“

Jak widzimy, Rochefort podczas pobytu swego na galerach, na wolnem powietrzu, nic nie stracił ze swego bystrego umysłu, swej attyckiej soli i umiał zawsze wybornie władać piórem, jak gdyby morderczą szpadą. Wszystkie zalety i właściwości jego stylu znów odżyły. Nikt nie potrafi zręczniej bożka dnia, jednem słowem pełnem djabelskiej werwy postawić na pręgierzu, oświecić jaskrawo błędy towarzyskie skrzącym dowcipem, a niesprawiedliwość praw śmieszną uczynić na wieki. Jego pamflety są pełne nienawiści i zemsty, a wpijają się w społeczne i polityczne życie jak rozpalone żelazo w ropiącą ranę. Jest on myśliwym bez litości, srogim i celnym strzelcem, a Wiktor Hugo zupełnie słusznie napisał na wstędze jego herbu ten wiersz:

Rochefort, l'archer fier, le puissant sagittaire,
Dont la flêche est aux flaucs de l'Empire abattu...

Nic tedy dziwnego, że czerwone książeczki miały nadzwyczajny pokup. Niestety, wspólnik jego nakładcy był bonapartystą i z tego powodu byliśmy świadkami niezwykłej komedji: sam kupiec obniżał wartość swego towaru.

Ostatni zeszyt tej drugiej serji wyszedł 19. lutego 1876 r. Gdy Rochefort Londyn porzucał, zapytał się rządu belgijskiego, czy wolno mu osiąść w Brukselli. Odpowiedziano, że bezwarunkowo zostanie wydalonym; wtedy osiadł w Genewie, gdzie żył jedynie w kółku zaufanych przyjaciół. Ponieważ on jako wygnaniec, nie mógł się podpisywać na swych artykułach, drukowanych w dziennikach francuskich, więc zamiast podpisu, umieszczał wielką gwiazdę pod bardzo poczytnemi artykułami w Rappel. Wreszcie rzeczpospolita, która przez kilka lat istniała tylko tytularnie, weszła w życie; można tedy było używać zyskaną wolność i postanowiono przebaczyć błędnym braciom. Akta łaski i amnestji posypały się. Po strumieniach krwi, nastąpiły strumienie łez radosnych, bramy ojczyzny otworzono ślepym i ich naczelnikom. Nawet Humbert został amnestjonowany, a przecież on nigdy nie przeczył, że brał udział w zamordowaniu nieszczęśliwego Chaudey'a; prawie wszyscy zbrodniarze przedmiejscy znaleźli wstęp wolny, tylko najodważniejsze, najwaleczniejsze pióro Francji, Henryk Rochefort, który z narażeniem życia walczył mężnie przeciw ekscesom komuny i tylko przeciw upokarzającemu pokojowi i intrygom monarchistów wersalskich protestował, on jeden nie otrzymał amnestji, nawet nie został ułaskawionym. Czyż można się dziwić, że jego dzikie, nieszczęśliwe serce burzyło się w bezsilnej rozpaczy, że jego straszliwe pióro raniło republikańskich władców w sa-

mo serce, że jego mordercze epigramata dotykały srodze rządzący oportunizm.

Ta krzycząca niesprawiedliwość wymierzona nieszczęśliwemu parii, który przecież w setnej części nie poruszał takiej olbrzymiej polemiki jak Veuillot, Cassagnac i Saint-Genest, musiała go przepełnić goryczą, a wygnanie jest i zostanie złym środkiem poprawy i skruchy. Wtem otrzymał jego najulubieńszy syn, którego z patrjotyzmu wychowywał we Francji, przy jakiemś ludowem zbiegowisku ranę z rąk policjantów; zrozpaczony ojciec uskarżał się głośno, i znalazł się jakiś awanturnik z Alzacji, który za podejrzany pojedynek unikał sądu śledczego; otóż awanturnik ten pragnął przez „sąd boży" oczyścić się z winy. Rochefort został naturalnie raniony, gdyż zdaje się, iż zapisano w księdze przeznaczeń, że on jedynie z piórem w ręku jest niezwyciężony. Dopiero teraz ulitowali się potentaci nad pokutnikiem, który z ich przyczyny został męczennikiem i dopiero w towarzystwie najlichszych podpalaczy pozwolono mu wrócić do ojczyzny.

Znakomity ten dziennikarz przyrzekł „oczyścić Francję z indywiduów" po swym powrocie. Miejmy nadzieję, że kraj rodzinny zagoi rany jego zbolałego serca i zaostrzy zmysł polityczny, widzi on bowiem rzeczy i ludzi własnym wzrokiem, a nie przez powiększające a szpecące okulary wiecznie niepokojącego niezadowolenia. Oby zapomniał wszelkich doznanych upokorzeń, nakazał milczenie boleśnie draśniętej miłości ojcowskiej; swych nieprzyjaciół, z którymi postanowił się obliczyć, jednem pociągnięciem pióra amnestjonował i służył jedynie dobrej sprawie, rozumnej wolności, która jedna i jedyna może zapewnić byt francuskiej republice. W przeciwnym razie znakomite to pióro, które wypędziło Bonapartów, może ich znów sprowadzić.

P. T.

ZAPOMNIJ O MNIE!

Zapomnij o mnie! Jam nie był stworzony
Dla raju cichych a świętych, radości,
Jaki w uśmiechu promienieje żony,
Jaki w szczebiocie niemowlęcia gości!

Zapomnij o mnie! Jam me głupie serce,
Wciąż kapryszące: «Gwiazdkę zdejm mi z nieba!»
Iskierka czucia, po czucia iskierce,
Rozterał marnie, wszędzie gdzie nie trzeba!

Zapomnij o mnie! Spuścizną zwietrzałą
Zbyt szumnych godów, skąpe, nie dziw, wety,
Tyle mi tylko dzisiaj zeń zostało,
Wiele na smętne starczyć go: niestety

Jak Mojżesz niegdyś, iż nie ufał Panu,
Ukaran za to, w zgonu swego porze,
Widzi zdaleka ziemię Chanaanu,
Ale, zapóźno! Wnijść już doń nie może!

Tak ja, za grzeszne przeszłości zwątpienia,
W was, o rodziny aniołowie biali!
Szczęścia dziś z woni miewam też widzenia,
Lecz w niedostępnej stopom moim dali!

Zapomnij o mnie! Niech pamięć ma dłużej
Nie cięży zmorą na piersi dziewczęcej!
Słuszna, by każdy brał tu, co zasłuży.
Zapomnij o mnie! Jam nic nie wart więcej!

Paryż
Grudzień 1879. *J. S. Chamiec.*

JASKÓŁKA

NOWELLA

LEONA SAMSONOWA

(przekład z rosyjskiego).

Było to we wtorek późnym wieczorem, dnia 22. stycznia 1874 roku, podczas karnawału; na dworze mróz trzaskający, niebo iskrzy się gwiazdami.

Na ganku hotelu drugorzędnego, na ławie kamiennej, śpi stróż. Zwolna podjechały sanki pod ganek i cicho stanęły. W sankach siedziała kobieta chustką okryta, a obok mężczyzna w futrze bobrowem. Stróż spojrzał, ziewnął i szczelniej zawinął się w kożuch.

Pan wysiadł z sanek, otworzył drzwi i wszedł do sieni. Na stuk zamykających się drzwi, stróż podniósł się nieco i zaklął:

— Calusieńką noc bożą włóczą się pijanice; a bodajże wam choć raz nosy popuchły!...

W tejże prawie chwili, gdy sanki podjeżdżały pod ganek, z przeciwnej strony pędził kłusem na piechotę, w paltocie wiatrem podszytym, kolega mój, aktor Kowrow. Jednym susem był już na ganku — i o mało nie stuknęli się głowami z powracającym prędko panem w szubie bobrowej.

— Ależ mróz, Iwanie! niech go kaci!... — zawołał Kowrow do stróża, tupiąc nogami i biorąc za klamkę; a pan tymczaczasem wsiadł do sanek, woźnica ruszył lejcem, dzielny rysak pomknął jak strzała po skrzypiącym śniegu, i sanki znikły w zakątach uliczek i ulic.

Kowrow wleciał do sieni i na schody. Zaledwie jednak z dziesięć stopni przebiegł, stanął jak wryty. Co u licha?... wyraźnie coś piszczy. Ale to wyraźnie piszczy!... Słucha, postąpił jeszcze o kilka stopni wyżej, i na załomie schodów, przy mdłem świetle latarki zawieszonej u ściany, ujrzał koszyk niewielki. Coś w nim się ruszało zcicha kwiląc żałośnie i jakby się siląc wydostać z pod białego pokrycia.

— Co to jest?!... To dziecko! Ach do stu par tysięcy! Numerowy!... — i pędem do restauracji, będącej zarazem kawiarnią.

— Gdzie gospodarz, gdzie Iwan Jakowlewicz?!...

— Jest, proszę pana; za bufetem, herbatkę popija.

— Iwanie Jakowlewiczu... Szanowny! Tożto dziecko u was na schodach!...

— Jakie dziecko?!...

— Zapewne ktoś podrzucił...

— Cóż u licha, stróż tam gawroni się na ganku!... Ach, łajdak jakiś!...

I wszyscy jak byli — goście, gospodarz i służba — tłumnie rzucili się na schody... Podjęto koszyk i wśród szpaleru ciekawych przeniosłszy go ostrożnie do restauracji, postawiono na ladzie, obok imbryczków, szklanek, łyżeczek i spodków.

— Zdejm mi to zaraz!... czego czekasz gapiu!

Zdjęto zasłonę.

Zacisnąwszy kułaczki, kurczyło się w koszyku coś nakształt posiniałego podobieństwa człowieczego, lada jak zakutanego w pieluszki.

— Ach, ach!... na prześcieradle znaki W. B.!... Ach, padlecy! patrzajcie... a drugi koniec oderwany! Widać z pośpiechu zamiast końca znaczonego, oddarli pusty!...

Z prześcieradełka, czy też serwety wypadł kawałek papieru.

— Coś napisanego!...

— Czytaj Iwanie Jakowlewiczu, czytaj tylko głośno, i niech ich djabli porwą!...

— »Dziecię nie przeżegnane i nie chrzczone.»

— Wołaj żonę; co stoisz bałwanie!... — krzyknął na chłopca kredensowego Iwan Jakowlewicz. — A ty Waśka, pędem na policję... że mości dobrodzieju tak a tak, rozumiesz? Żywo!... Ależ to szelmy rodzice!... No, nie płacz, nie płacz... tu ciepło... nie płacz robaczku ty mój... — zwrócił się dalej z perswazją do posiniałego podobieństwa ludzkiego.

— Zabawili się, widać, sobie, a potem i rzucili! Doskonale, nie ma co mówić!... kociątka biednego, szczenięcia, człowiekowi żal rzucić, a oni dziecko rzucili!... I w katorgę do kopalń za taką rzecz, to jeszcze za mało!... — wołali obecni.

— Ach ty!... padlec!...

Przyleciała żona.

— Agrafiena, bierz. Pan Bóg córkę, czy też syna, przysłał.

— Ach ojcowie moi, *batiuszki mai!...* — i klasnęła w dłonie, rzucając się do koszyka.

— Nie czas na ach *batiuszki mai!* Zabieraj. A daj-no tylko mleczka ciepłego.

— Łotry, rozbójniki!... — i porwała za koszyk, unosząc do siebie.

— Ty! pieluszki — to, kołderczynę, koszyk.., rozumiesz, ostrożnie z niemi! Prystaw przyjdzie, trzeba będzie wszystko opisać! — krzyczał w ślad za oddalającą się Iwan Jakowlewicz.

Podczas, gdy się to działo w restauracji, w sąsiednim numerze stękała, jak zwykle na reumatyzm, towarzyszka życia

mojego. Dziesięcioletnie pożycie uświęciło nasz związek.

Numerowy przyniósł jej herbatę:

— A u nas, proszę pani, zysk; dziecko ktoś podrzucił.

— Gdzie, kiedy?...

— Ot niedawno, na wschodach. Takie sinieńkie, że aż strach. Malusieńkie takie, powiadam pani, że kucharka ze stróżową powiada, że chyba nie więcej jak czterodniowe.

— No i cóż, podjęli je, wzięli?

— Gospodarz wziął; Agrafiena Pietrowna do siebie porwała.

— Dziewczynka?

— Jeszcze nie wiadomo; kucharka nie mówiła tego.

— Prowadź mnie do gospodyni... A gdy wróci Lew Mikołajewicz, daj mi znać.

Ja wtedy właśnie wracałem z benefisu mojego. Doskonały miałem benefis. Odtrąciwszy połowę na koszta reprezentacji, dostałem czystego 105 rubli, a długów na mieście 300. Cóż robić! Zgarnąłem pieniądze i powlokłem się do domu. Przyszedłem wreszcie do hotelu, i naturalnie nie inaczej — jak zaraz do bufetu, ogrzać się kieliszkiem... Patrzę, za stołem siedzi prystaw*) i coś pisze, na stole koszyk — ot taki, z jakim kucharki po mięso zwykle chodzą — a w koszyku serwety nie serwety, dość że coś białego. Dokoła stoją policjanci, Iwan Jakowlewicz, Kowrow, stróż i kilku gości. — Co takiego? pytam; pobili się może, skandal jaki, czy co? — Opowiedziano. Wybornie! pomyślałem sobie. Ach wy, ludzie!...

— Proszę pana, pani prosi pana — powiada numerowy.

Myślę sobie zapewne znów gorzej, znów trzeba będzie tam morfiny... Leczyli ją i leczyli lekarze, a nareszcie powiedzieli, wieź ją pan do kąpiel szlamowych. Zawiozłem, jeszcze gorzej. Przepisali potem jakieś mineralne kąpiele, a potem znów jakieś kali-jodati-bromati i morfinę. A jacy jeszcze łaskawi! Ażebym nie płacił bezpotrzebnie za wizyty, nauczyli samemu zastrzykiwać. Powiadam państwu, cudowny instrumencik! Bierze człowiek strzykaweczkę jak pióro gęsie, naciągnie morfiny, przyśrubuje następnie żądełko jak igiełka cienkie, tylko że wewnątrz puste, zasadzi za skórę — pstryk! i po wszystkiem! W ten miły sposób już od lat czterech ćwiczyłem się w strzykaniu, co dzień trzy razy. A gdy większe bole, to i cztery i pięć. Zastrzykniesz i na całe pięć, sześć godzin zdrowiusieńka, a potem znów ziewanie, dreszcze, więc da capo. A co ona się nie napracuje przez te kilka godzin zdrowia, to i uwierzyć trudno; inna przez cały dzień nie poszczyci się takim owocem pracy, jak bywało, Leneczka moja, przez te kilka godzin zdrowia.

Wchodzę do numeru, patrzę — żona zamyślona chodzi po pokoju. Gorzej ci, Leneczko?*) mówię. Nie mój Leonku, ale wiesz co?... Co takiego? Dziecko ktoś podrzucił; dziewczynka; tylko co z Agrafieną Pietrowną poiłyśmy ją mlekiem. — I piła? — Piła; gospodarz bierze ją do siebie i chce na wieś wysłać, do swego futoru. — No, to dobrze.

Milczenie.

Chciałem nalać sobie herbaty, ale wrzątku nie było. Zadzwoniłem, ażeby mi dano wody gorącej i zabierałem się przejrzeć rolę moją na jutro.

— Leonku!

— No, co tam..

— Co ja bym chciała powiedzieć...

— Może ażebym morfinę?...

— Nie, nie to. Ale widzisz, od lat kilku wciąż cierpiąca jestem... rujnuję cię na lekarstwa... nudzę się... Kto wie, a może to nam Pan Bóg szczęście posłał?...

— Jakie?

Umilkła.

— Wyobraź sobie, po chwili znów prawi, taki mróz okropny, a tu jedna tylko pieluszczyna, a pod główką jakieś gałgany, jakiś kawałek prześcieradła czy co takiego, zamiast kołderki; aż serce pęka!... Ona nawet nie płacze; zaledwie tylko kwili, ale to tak słabo, tak słabo, że powiadam ci...

Pojąwszy do czego dąży, nic nie odrzekłem, udając, że nie słyszę.

— Miałabym zajęcie, rozrywkę... Ot już trzy lata, jak nic nie robię, a jam przywykła mieć zawsze jakieś zajęcie... Smutno mi tak samej jednej... A ciebie w domu nigdy prawie nie ma... To na repetycji, to występujesz na scenie, a ja zawsze sama jedna i jedna...

Umilkła; tylko czasami spoglądnie ukradkiem. Widocznie czeka co odpowiem. Trzeba przecież coś odpowiedzieć; mówię więc tedy:

— Czego ci się zachciewa, moja ty droga. Czyś się zastanowiła nad odpowiedzialnością, jaką chcesz wziąć na siebie? Sami nie mamy co jeść, a tu mamki, niańki... Pomyślno tylko!

— Jużem dawno pomyślała. Sprzedam garderobę teatralną, po której mi już nic po tem; sprzedam zegarek mój złoty, trzy bransoletki... mniej będę morfiny zażywać... Bo uważasz Leonku, nie dla tego nieraz zażywam, żem chora, ale po prostu z nałogu; tak samo jak pijak bez wódki obejść się nie może.

— Czyż myślisz, że na długo wystarczy tych twoich gałganków i bransoletek?... Raz wziąwszy ją do siebie, powinnaś nie tylko wyhodować, ale i wychować, dać jej wykształcenie... Pojmij, że wzięłabyś ją na sumienie swoje; byłabyś za nią odpowiedzialna przed Bogiem. Mówię przed Bogiem; zastanów się no tylko kobieto! A czy przy życiu naszem cygańskiem, przy życiu z dnia na dzień, możemy brać podobną odpowiedzialność na siebie?

— Ty nas i widzieć nie będziesz, i słyszeć nas nawet nie będziesz!

— Nie o mnie tu idzie, nie takiem już koleje przebywał! Ale o nią, o jej dobro tu idzie. Czyż myślisz, że to przywiezienie jej tutaj w mróz trzaskający, to leżenie na schodach zaledwie przykrytej, nie wpłynie na jej zdrowie? Za trzy tygodnie mamy jechać do Kijowa; jak tu brać z sobą takie maleństwo?! Na wsi, u Iwana Jakowlewicza, w ciepłej chacie, spokojnie i dobrze jej będzie; ale włóczyć się z nią podczas zimy...

— Na wsi! A czy ty nie wiesz, że tam w chacie i ciele i prosięta razem z ludźmi na kupie?!

— Bardzo proszę, tylko już nie u Iwana Jakowlewicza! Iwan Jakowlewicz nie taki człowiek.

— Niech sobie i nie taki; ale wyhoduje ją na chłopkę, a później weźmie do kuchni, i każe rądle szorować. Nawet czytać jej nie nauczy!... A ty przecież człowiek wykształcony, postępowy, i sam ciągle powtarzasz: oświaty dla ludu, oświaty co najwięcej! Taki to z ciebie przyjaciel oświaty?... Krzyczysz o oświacie, a ją chciałbyś wychować na stróżkę, na popychadło któremby wszyscy ludzie poniewierali?...

Bóg widzi, że anim myślał o czemś podobnem; rzekę tedy:

— Gdybyto jeszcze była ona lat czterech, pięciu, to nie mówię; możebym się i zgodził, ale tak jak dziś jest...

— Proszę ciebie tylko bez tych ale. Co tu gadać! Odwiozę ją do mojej ciotki i basta. Będziemy ciotce płacić nieco na utrzymanie, bo wiesz, ciotka sama nic nie ma, a za lat trzy, gdy podrośnie, weźmiemy ją do siebie. Ale dla czego za lat trzy? Za dwa, tak, za dwa, tak będzie lepiej... Wychowamy ją i kto wie, może ona jeszcze będzie podporą naszą w starości?... Zobaczysz, jeszcze będzie z tobą występować w rolach dziecinnych... tak jak ja niegdyś występowałam. Pamiętasz?...

Zamyśliłem się i począłem chodzić. Masz tobie! myślę sobie; a to przecież sprawa nie lada! No, dajmy na to, że weźmiemy. Żona moja wprawdzie znajdzie w niej cel życia, będzie mieć pociechę, rozrywkę, zajęcie, to wszystko bardzo dobrze. Ale jak ja umrę przypadkiem, co będzie?... Czy dadzą same sobie radę, gdy mnie nie stanie?... Przyczyniać się do mnożenia żebraków, samobójstw...

— Na wiosnę i lato zaangażowany jesteś do Kijowa, na zimę do Odessy, uprzykrzał się głos żony z za parawana. Czyż ta malusieńka gąbka tak bardzo cię obje?... Ja nie wiele potrzebuję; parę łyżek rosołu, filiżanka herbaty, i dosyć. Przestanę papierosy palić; nawet zdrowsza będę... No, jakżeż?...

Milczenie.

— Ależ odpowiedz! Już to prawda co ludzie mówią, że nieraz bez litości jesteś i jak zatniesz się, tak ani rusz! Fe, a przecież ty sam byłeś tak samo jak i ona sierotką...

Westchnąłem, machnąłem ręką i rzekę:

— Bierz, niech się dzieje wola Boża!...

— Ach drogi mój, luby!... Daj mi rękę, niech ją ucałuję!... przypada żona na wpół rozebrana.

— No, dobrze już, dobrze, niech będzie po twojemu... a teraz zostaw mię...

— A więc ja zaraz...

— Co takiego zaraz?...

— Zaraz ją przyniosę, już biegnę!...

*) To jest «czastnyj prystaw», po naszemu komisarz policji pewnej części miasta.

*) To samo co u nas Heleneczko.

— Ale jakże zaraz?... jakże to, jakże... Mamki jeszcze nie ma, a ona już zaraz...

— To dziecińatwo; ja ją za pomocą flaszeczki napoję; Agrafiena Pietrowna da mleka... A ty mój drogi, wiesz co?... Ona z pewnością przeziębła mocno, ruszaj więc po doktora i zaraz przyprowadź.

— Jakto zaraz? Co z tobą... ale zmiłuj się... Już pierwsza po północy, a mam jeszcze uczyć się roli na jutro.

— Co ci tam rola, przecież już ją grałeś, zresztą czy ja ciebie nie znam? sufler aż nadto wystarczy! No, idź już, idź; oto palto, czapka, a to ona jeszcze umrzeć gotowa...

— Ale zkąd umrzeć... cóż tak spiesznego, ależ poczekaj...

A palto tymczasem już na plecach. Anim się obejrzał, jak się za drzwiami znalazłem. A niech was nie znam! przeklinałem w duchu schodząc ze schodów. Gdzie djabeł nie może, tam pewnie babę poszle... A ty co spisz; otwieraj do stu par tysięcy!... wpadam na stróża. Dzieci przed nosem mu podrzucają, a ten ani widzi!.. Hej, sanki, podawaj!... Ach wy, wam tylko byle zasługi brać!... No, ruszaj cymbale do doktora!..

— Oho, zaraz widać że pan!...— drwi automedon siermiężny.

— Nie przestaniesz ty tam burczeć pod nosem?!... Ruszaj!

Jedziemy. Na zakręcie zatoczyły się sanki i bęc — zaryłem się w śniegu po uszy.— Bodajże cię taki a taki, djabli porwali! — krzyczę z wściekłością.

— Tylko zwolna, paniczu mój; nie tak szparko... Minęły już te czasy... — szyderczo odpowiada sankarz, podnosząc sanki.

Siadłem — i dalej. Wybornie! pomyślałem sobie. Ojciec rodziny... o mało karku nie skręciłem... czegoż chcieć więcej!

Przywiozłem doktora; *córka* już była za parawanem. Obejrzał lekarz i powiada: trzeba zaraz do apteki. — Dobrze. — Trzeba jej tego, pan wie popędzlować... rozczynem lapisu, garełko; pan to potrafisz? — Nie, nie potrafię. — No to dobrze, zaczekam w kawiarni, a pan tymczasem do apteki.

Zapisał receptę, i wychodzimy. Ja do apteki, a on do bufetu, gdy tymczasem pragnąłbym najszczerzej, aby było odwrotnie.

— No, ojcze kochany — powiada lekarz na schodach, gdyśmy wychodzili — wcaleście niepotrzebnie wzięli to niemowlę. Ma tak silne zapalenie, że bodaj czy do jutra dociągnie.

A niech cię z taką pociechą! Jakby to ja i bez niego nie wiedział! — ale co człowiek poradzi, gdy baba się uprze...

Pojechałem do apteki, przywiozłem, lekarz popędzlował — dwa ruble w łapę i adieu.

Ciekawym co teraz będzie? myślę sobie po wyjściu eskulapa.

— Leonku!

Już się zaczyna. — A co tam?

— Każ numerowemu przynieść z pół wiadra wody gorącej. Z pewnością mają, bo przecież przez całą noc dla pijaków restauracja otwarta (»zkąd ona to wie!«), i jeszcze półwiadra zimnej niech przyniesie, a sam wstąp do bufetu i weź garsteczkę suchej gorczycy, czy słyszysz? A poproś też Iwana Jakowlewicza, czy nie ma czasami wanienki, a jeśli nie ma wanienki to przynieś koryto.

Coraz lepiej! Golnąłem na frasunek przy bufecie starki, gorczycę przyniosłem, koryto i woda także się znalazły.

A tu patrzę już i szyć coś poczęła:

— Teraz Leonku dostań mi ot z tego kuferka woreczek ze skrawkami i wstążeczkami. A co, znalazłeś?... Ten, ten. Rozwiąż-no go teraz i poszukaj płótna lnianego · musi być tam jeszcze kawałek — i oderwij płateczek niewielki, ot tak jak dwie dłonie.

Oderwałem; z przyjemnością oderwałem.

— No a teraz co jeszcze?

— Teraz... wsyp gorczycę do płatka, zawiąż sznurkiem mocno, a w miednicy na umywalni znajdziesz gąbkę. Ja tymczasem przyrządzę kąpiel dla niej.

Kąpiel gotowa — nastąpiło uroczyste wyniesienie z za parawanu.

— Zobacz no, zobacz Leonku, jakie to maleństwo... O śliczności ty moje, oj biednieńka ty moja!... Patrzaj Leonku, ona i włosków na główce prawie jeszcze nie ma.

— To jest jak kolano.

— Tybyś tylko żartował.

Włożyła do koryta drobniutkie ciałko i poczęła się kąpiel. To ją obmywa gąbką, to plecki gorczycą naciera: — No nie płacz nie płacz! to dla twego dobra, dziecino ty moja. Niech sobie doktor leczy po swojemu, a ja będę po swojemu. Czy wiesz Leonku, że moja babka bywało, gdy się które z nas przeziębi, zaraz bywałodo kąpieli i plecy gorczycą naciera. — A nas miodem z solą, odpowiadam, i jam zawsze kosztował.

Wykąpała.

— No cóż stoisz?

— Co jeszcze? — pytam.

— Podaj-że ciepłą kołderkę... Ale nie, daj mi wprzód pieluszki, prześcieradło podarłam.

Podałem pieluszki.

— Nazwę ją Nadziejką. Będzie ona moją nadzieją na wyzdrowienie. Słyszysz Leonku, słyszysz! ona już nie tak płacze.

— Czy już wszystko?

— Wszystko; możesz sobie teraz pójść uczyć się swej roli.

— Sli znie dziękuję za pozwolenie.

Była już godzina czwarta z rana. Rozebrałem się i układając rzeczy, trąciłem krzesłem nie bez irytacji pewnej. — Cicho Leonku, jeszcze ją przebudzisz. — Będę cicho.

Ccu, ccu, ccu — coś za parawanem słychać. To *ona* poczyna już z butelki ssać... Wygłodniało biedactwo na mrozie, a pan ojciec tymczasem w bobrach! Rad teraz, że się udało; cieszy się... A ta kobieta w chustce co z nim była, to musi być akuszerka. A zdarła też zapewne z niego szelmy, porządnie! myślę sobie. I zasłużyłeś na to, bydle ty jakieś!... No, teraz jak się zdaje, jestem już samoszóst: dwie wiewiórki, piesek, Leneczka, dziecię i ja. Doskonale, nie ma co mówić!...

Myślałem, iż całą noc oka nie zmrużę. Omyliłem się, dziewczynka nie krzyczała.

A widzisz, jaka ona spokojna; ani na chwilę nie przeszkodziła ci spać. Każ przynieść mleka ciepłego.

Poszedłem i w korytarzu spotykam doktora: — Umarła? — Gdzie tam, żyje; niech pan wejdzie. — Znów popędzlował lapisem, znów dwa ruble w łapę. — No, ojcze święty — powiada doktor, to bardzo rzadki wypadek. Jedno z najmocniejszych zapaleń!... moje uszanowanie...

— Moje uszanowanie...

— Nie płacz, nie płacz! pocieszała dziecię (to tak po lapisie!). Co ty usteczka swe tak rozpuściłaś. Wiesz co Leonku: nazwę ją Niunią. Nadzieja, Niunia to bardzo podobne jedno do drugiego.

— Bardzo podobne.

Podczas chrztu, zawaliłem się do jakiejś piwiarni. Na ojca chrzestnego wzięła Kowrowa; matką była sama.

(C. d. n.)

WSPOMNIENIA LEKARZA

z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

(Ciąg dalszy.)

II.

Konstantynopol. Nowożytny Charon. Seraskierat. Dari Szura. Nuri Basza. Maltepe szpital. Jak Mechmet bej uzdrawia chromych, ciemnych i głuchych.

Po przebyciu w ośm dni 1178 mil morzem, wjechaliśmy brzaskiem dnia do Bosforu. Jeszcze jedna godzina oczekiwania — i mieliśmy stanąć u celu podróży.

Pożegnaliśmy Europę, a przywitali nagle bez najmniejszego przejścia Wschód! Konstantynopol! Co za urocze i tajemnicze słowa? Rozmaite fantastyczne opisy, które jako chłopiec czytałem i słyszałem, różne sceny, które w myśli o Turkach tworzyłem, a w których teraz sam udział brać miałem — wszystko złożyło się na to, iż nie miałem spokoju a krew raźniej w żyłach krążyła. Nareszcie ujrzałem Stambuł, istne pieścidełko za wystawą u cukiernika, wyklejone na siedmiu pagórkach wśród ogrodów, parków i skwerów; między domami krocie poważnych minaretów, rzuconych jedne nad drugie, a u ich szczytów słońcem olśnione półksiężyce. Meczety, koszary, szpitale, wieże Galaty i Seraskieratu, morze i przystań z niezliczonymi olbrzymiemi okrętami uzupełniały pyszne panorama.

Z tego zdumiewającego osłupienia otrzeźwili nas natręci: dragomani, przewodnicy, kaikczi, ajenci hotelów i inne tego rodzaju nowomodne pijawki, które poczytują sobie za obowiązek, być jedną z plag dla podróżujących. Zaledwie bowiem „Hungaria" stanęła, wpadła owa tłuszcza obławą na pokład. Rzuciła się do kajut, zalała

nas powodzią ofert i wydzierała sobie nasze pakunki wśród wyrazów zoologicznego podręcznika.

Po schodach pokładowych udałem się wspólnie z kolegami do kaiku. Tu zastąpił nam drogę siwobrody Turek, kontroler cła na morzu. Był on łagodniejszy od Charona; na zapewnienie, żeśmy niewinne duszyczki z Europy, i po wzięciu kilku srebrnych *obolosów*, wydał nam pod postacią kresek legitymację wolnego przewozu do świata haremów i odalisek.

Wysiadłszy na ląd, zostawałem jeszcze pod wrażeniem ustawicznego kołysania okrętu i zdawało mi się, że ziemia i domy się kołyszą.

Przewodnik prowadził nas przez główną ulicę Pery — na jego zapewnienie uwierzyłem, że to Pera — a *hamat* dźwigał jak wielbląd, na barkach wypchanych skórzaną poduszką, napiętrzone góry naszych bagaży, które swym ciężarem zgniotłyby zwykłych posługaczy. Ta siła herkulesowa jest wynikiem potrzeby kraju; z powodu bowiem górzystego położenia, przystęp dla koni i wozów nie wszędzie jest dostępnym. Liczba też fiakrów jest małą, gdyż ulic zdatnych do jazdy nie wiele; tak samo sieć tramwaju jest pojedyńcza, miejscami tylko i bez linij pobocznych. Do usług więc głównie służą wierzchowce, muły, osły, a dla dam lektyki. Zamieszkaliśmy w hotelu peszteńskim i oczekiwaliśmy rozstrzygnięcia naszych losów.

Wewnątrz Konstantynopol przedstawił mi się jak kalejdoskop, w którym odbywał się pochód maskarady, wyobrażający wędrówkę narodów: boso, w pantoflach drewnianych i skórzanych, na koniach, osłach, bułgarskich wozach, w ekwipażach, lektykach, tramwajach, wreszcie na ramionach bałwanów, naturalnie Złotego Rogu i Bosforu. Przeważały szczepy muzułmańskie w pstrych kostiumach, z Arabii, Egiptu i Malej Azji. Jako dzikie bajazzo przebiegali Czerkiesi z Kaukazu, Seibekki z pod Smyrny, Kurdowie i Arnauci. Dalej zapełniali wązkie ulice Europejczycy w cylindrach, Bułgarzy pod wodzą popów z brodami, pejsaci żydzi, Grecy z oczyma krokodyla. Wśród tłumu białych i czarnych przechadzały się zamaskowane kobiety. Jedni intrygowali drugich.

Przed południem wybraliśmy się do seraskieratu, ministerjum wojny, oznajmić sekcji sanitarnej *Dari Szura* o naszem przybyciu. Naturalnie, że najprzód trzeba było choć w przybliżeniu przeistoczyć się w Turka; każdy więc z nas wdział na siebie obowiązkowy czerwony fez wojskowy z kutasem na sznurku, dla odróżnienia od cywilnego. Zarazem dano nam instrukcję, że dla okazania uszanowania, fez nigdy i nigdzie się nie zdejmuje. Przypatrując się moim kolegom, a oni mnie, zaledwie nie parsknęliśmy śmiechem. Przypomniałem sobie umundurowanie rekrutów i zakład w Döbling. Zdawało mi się, że ludzie stają i na moją głowę patrzą.

Gdyśmy na schody wejść chcieli, odźwierny skrzywił się widząc nasze obuwie i wskazał, ażeby je zdjąć. Udaliśmy, że go nie rozumiemy, i przedarliśmy się przez szeregi ludu, zalegającego kurytarze.

Przestąpiwszy próg sali *Dari Szura*, przedstawił nam się szczególny obraz. Zasłona purpurowa od góry do dołu dzieliła salę od przedsionka. Posadzka była wysłaną kobiercami. Na dywanach purpurowych i fotelach takiejże barwy siedzieli baszowie w szerokich czerwonych spodniach, z nogami skrzyżowanemi i palili cygareta. Po ziemi leżały porozrzucane akta. W kącie pisało dwóch pisarzy to na dłoni, to na kolanach, piórem z drzewa, w rodzaju trzciny — atramentem, który za pośliniemem palca zetrzeć można — od strony prawej ku lewej — od końca do początku, t. j. od ostatniej kartki do pierwszej, według naszych pojęć.

Pozdrowiłem dostojników dotknąwszy ręką feza i wręczyłem list Stefana baszy. Już w podróży, pod wpływem rozsiewanych postrachów i pogróżek, kusiło nas rozpieczętować go, ażeby się dowiedzieć o dalszym losie naszym; lecz daliśmy temu pokój, by nie doznać rozczarowania, lub zamiast pisma europejskiego, nie ujrzeć hieroglifów wschodnich. Adres bowiem francuski, nie dawał jeszcze rękojmji tożsamości języka wewnątrz listu.

Poproszono, ażebyśmy usiedli, z czego natychmiast skorzystałem; lecz cóż się dzieje? — zapadam się z fotelem i nie zatrzymuję się aż na ziemi; sprężyny bowiem fotelu były wygniecione butami. Usiąść na kobiercu »*à la turque*«, bez poprzednich ćwiczeń, nie śmiałem, usiadłem więc na innem bezpieczniejszem krześle i przypatrywałem się całemu gospodarstwu. Zauważałem, iż do tych świątyń biurowych każdy ma wstęp dowolny. I tak wszedł żebrak okryty łachmanami, prosząc obecnych o jałmużnę. Ten jeszcze nie odszedł, gdy przyszedł kramarz, polecając swój towar: cygarniczki, papierki do cygaret, ołówki itp. Dalej zjawił się domokrążca, sprzedający przekąski, jak *mohalebi* (słodki ryż), ser, *jahurt* (kwaśne mleko), owoce i inne. Wszedł także jakiś durny Jasio, rozmawiał z sobą głośno, wziął ze stołu baszy chustkę do nosa, przypatrywał się jej monogramowi, rzucił ją z gniewem, zajrzał potem do grubej księgi, ale snać nie podobała mu się, bo powiedział kilka słów opryskliwych i wyniósł się. Urzędników wcale to nie raziło i wygody ich nie przerywało. Jedno wszakże intermezzo postawiło ich na nogi: kot wlazł do sali, zaczął po papierach półksiężyca spacerować, miauczeć, może z zazdrości, że basza spożywał kawałek chleba z serem — i przybierać podejrzaną postawę; wtedy zerwało się kilku biurokratów, pod dowództwem baszy, i dalejże uganiać za kotem, który oknem uciekł na balkon, ażeby za chwilę powtórzyć wizytę.

Następnie przychodzili popisowi do superrewizji i rozbierali się za dziurawym, o trzech skrzydłach parawanem. Oglądał ich Nari basza a w jego nieobecności sekretarz Theodoraki bej, jeden i drugi na własną rękę, w sposób więcej niż pobieżny. Gdy zapadł wyrok niekorzystny, kandydat nie omieszkał szukać pociechy u nas, prosząc o kilka groszy.

Najwięcej krzątał się Nuri basza, szef spraw zdrowotnych, przysadkowaty i podtatusiały, z żywem usposobieniem i jeszcze ruchliwszym fezem, który wędrował ciągle z nosa na głowę, a z głowy na kark ekscelencji i na odwrót. Basza wołał basowym głosem *czausza* (sierżanta), lub sekretarza, to znowu pisarza Jussufa, nie zapominając jednak o *kawehczi'm* i *tabakczi'm*. Składał chaotycznie papiery do płóciennego worka, przerzucał okiem podania kobiet, maruderów i inwalidów i zwracał takowe lub podpisywał — nie własnoręcznie, lecz zapomocą osobnej pieczątki z wyrytem na niej swojem nazwiskiem, którą maczał w atramencie lub tuszu. Turcy zapatrują się na sztukę pisania ze stanowiska, że ona nie dla każdego jest właściwą. Dawał także posłuchanie oficerowi, który ugiął się nisko, dotknął lekko szaty i palców baszy i opisał w powietrzu półkole ręką, którą zbliżył do piersi ust, i czoła.

Jednego z baszów, spoglądającego na nas z pod oka, napadły głośne odbijania się żołądkowe, które zresztą wcale tu nie należą do złego tonu.

Po niejakim czasie oznajmił Nuri basza, że mnie (wraz z innym kolegą dr. K. z Wiednia) przeznaczono w Konstantynopolu do szpitala *Maltepe* i polecił, abym natychmiast objął chirurgiczny oddział dla wielkiej liczby rannych. Ze strony Seraskieratu przydzielono mi dla porozumiewania się z chorymi *terczimana* (tłumacza) Jakuba i wręczono pieczątkę z tureckim napisem mojego nazwiska, nieodstępną biżuterję, którą mam dotąd jako pamiątkę.

Obydwaj koledzy, współtowarzysze podróży, zostali wysłani do Orchanie i mieli za dwa dni wyruszyć w drogę koleją do Tatarbazarczyku, a dalej wozem na Sofię. Tak niestety zostaliśmy rozdzieleni.

Na drugi dzień wybraliśmy się szukać *Maltepe* i najbliższej drogi, lecz okazało się że odległość z Pera wynosiła przeszło dwie godziny. By nie zbłądzić, trzymaliśmy się jako drogoskazu szyn tramwajowych, prowadzących do Topkapu a leżących odłogiem, gdyż towarzystwo wstrzymało ruch na tej przestrzeni, skoro żołnierze chcieli się przewozić bezpłatnie do koszar i wywoływali awantury. Pokazało się, że dalsze mieszkanie w Pera jest dla nas niepodobieństwem. Nie było innej rady, jak szukać mieszkania gdzieś w pobliżu szpitala. Nowy kolega był także tego zdania, postanowiliśmy więc wprowadzić się do domu jednego Armeńczyka w Topkapu. Turcy nie odnajmują nikomu mieszkań z obawy o swe kobiety. Pożegnałem kolegów, polecając się ich pamięci, i ruszyliśmy: oni w drogę a ja na wieś.

Ażeby się przedstawić *mirałajowi* (pułkownikowi) i za jednym zachodem przeprowadzić, wyszukał Jakób, dowcipny żydek z Kongresówki, fiakra, do którego nas zapakował razem z bagażami a sam usiadł na kozioł. Po półtoragodzinnej jeździe po grudach otomańskiego gościńca, w czasie której wyskakaliśmy się jak ziarna w przetaku — zawołał woźnica wskazując batem *Maltepe hasłachane*.

Szpital leżał odrębnie na pagórku — ztąd jego nazwa — bardzo korzystnie ze względów sanitarnych. Posterunek zatrzymał naszą budę, lecz na zadowalniającą odpowiedź: *hekim baszi* (lekarze), wpuścił nas przez szeroką bramę na dziedziniec.

W przedsionku, na wieszadłach, damasceńskie pałasze i sztyletowe bagnety uderzyły nas swym blaskiem i kształtem. Jest przepis, obowiązujący tak baszę jak i żołnierza, odpasywać wszelką zbroję, jeżeli chcą przestąpić progi. Na prawo prowadziły drzwi do obszernej komnaty, zasłonięte czerwoną materją sukienną.

Komnata ta wybielona i ozdobiona lustrem w pozłacanych ramach, mieściła właśnie całe grono lekarzy, którzy na widok nieznanych przybyszów fiakrem, pozrywali się z minami zaambarasowanemi. Była to godzina przedpołudniowa, więc może spodziewali się ujrzeć członków *seraju*. Na ścianie obok lustra wisiała w języku

francuskim lista lekarzy dyżur trzymających, a na stole pokrytym zielonem suknem leżała księga wpisu przybyłych, wyzdrowiałych, zmarłych i pozostałych pacjentów. Po przedstawieniu się, przyjmował nas na czerwonym dywanie *mirałaj*, Macridi Bej, z rodu Grek, liczący około lat 60, z sympatycznym i marsowym wyrazem twarzy. Ponieważ już wprzód zostałem pouczony, co przystoi w takich towarzystwach a co nie, weszliśmy zatrzymując fezy na głowie, dla pozdrowienia i uczczenia tureckich kolegów. Lecz ani mi się śniło zdejmować obuwie. Ta kwestja kanonu tureckiego o buty pozostała zawsze sporną. Jeden z hejów zapytał nas, czy władamy językiem narodowym. Na zaprzeczenie nasze objawił wielkie zdziwienie. Zamiast odpowiedzi wskazałem na Jakóba, który obok czynności *dżerrhaha* (felczera), miał pełnić obowiązki *terczimana* i na kontrakt, w którym o znajomości języka tureckiego żadnej nie było wzmianki.

Wśród tych dyskusyj wniósł sługa *apostolaki*, »*kaweh*« i żar węgla w szczypcach, do zapalania cygaret. Między lekarzami znalazłem dwóch renegatów, ludzi nader godnych szacunku, p. L.... z Kongresówki i p. Regensburger'a z Węgier, szkolnego kolegę profesora Zeista — obaj ze starej emigracji i z tytułami Ali bejów.

W dalszym toku rozmowy poznałem wykształcenie pana Mehmeta beja. Ten żarliwy turczyn o kończastej brodzie, okolonej czarnym zarostem, namiętnym wzroku i wygiętym nosie — rozdzielał żołnierzom, o których słusznie czy nie słusznie mówił że udają, szturchańce rzeczonemi żelaznemi szczypcami, lub w braku tychże nogami, z zapałem godniejszym lepszej sprawy.

Wychudłą prawicą bierzmował po twarzach i głowach, wymawiając przytem wszelkie inne wyrazy, wyjąwszy „pokój z tobą.“ Nie uleczyła go nawet od takiego postępowania przygoda poprzednika. Wspominał bowiem Ali bej, iż raz iskra baterji, wymierzona w cyferblat żołnierza, przeskoczyła napowrót na bejowską twarz experymentatora. (C. d. n.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Willegiatura. Ogród pojezuicki i gmach sejmowy. Broszura dr. Wolskiego. Broszura in spe p. Pawła Popiela. Hipolit Skimborowicz. Zoologja p. Nowickiego. Z wystawy sztuki. Adam Asnyk.

Niezbyt rozkosznem jest zadanie redakcji pisma literackiego w porze letniej, w sezonie modnej willegiatury, gdy wszyscy współpracownicy porozjeżdżają się na wszystkie strony świata, obiecując wprawdzie i z daleka przysyłać płody odświeżonego umysłu, lecz ani myśląc o dotrzymaniu słowa. A musi już ta moda sięgać głęboko, kiedy nawet p. Jan Lam, taki prawowierny Lwowianin, uciekł ze Lwowa i tak się na wsi zakopał, że nie wiadomo nawet, kiedy powróci.

I po co ci ludzie wyjeżdżają? Wróciwszy każdy narzeka: „Wiesz co, kapitalnie się wynudziłem.“ „Przez cały miesiąc musiałem żyć grzybami.“ „Patrz, jak mnie komary pokąsały.“ „Patrz, jak sobie majtki rozdarłem“ słowem, płacz i zgrzytanie zębów; a jednak za rok pojadą znowu.

Już to w ogóle te letnie przejażdżki i mieszkania z daleka tylko wyglądają przyjemnie; przypatrzywszy się bliżej, tyle tam niewygód, braków, kłopotów i wydatków, że jak to mówią skórka za wyprawę nie stanie, zwłaszcza gdy się wyjeżdża z liczniejszą rodziną i nie ma do wyrzucenia tysiąców.

Wracając do współpracowników, redakcja rzuca na nich klątwę i cieszy się, że w tym roku choć niebo stanęło po jej stronie i przez dwa tygodnie częstowało niewiernych Lwowian słotą i zimnem. A nam tu wtedy we Lwowie było dobrze, chłodno i.......ej, jakoś nie dobrze się składa — więc mówmy lepiej o czem innem.

* * *

A przedewszystkiem płaczmy nad ogrodem pojezuickim. Na wiosnę wycięto wielką przestrzeń sporych już drzew przed gmachem sejmowym, dziś znowu gospodaruje tam siekiera, waląc tu i ówdzie pojedyńcze drzewa, jak jedni mówią z uschłemi czubami, a jak powiadają inni, znowu dla widoku z sejmowego gmachu. Wiosenna trzebież ogród nie tylko zeszpeciła, lecz i zniszczyła, bo otworzyła go na wolę wiatrów i pyłu, a głównie całą dolną połowę ogrodu pozbawiła cienia, który dawały jedynie wycięte gaje. Jeszcześmy nie słyszeli, ażeby dla widoku gmachu lub z gmachu, niszczono ogród, który wkrótce wyglądać będzie jak Sachara. Słyszeliśmy wśród publiczności charakterystyczną uwagę: „Czy przyszłem zajęciem posłów sejmowych ma być lornetowanie spacerujących piękności, że im drzewa z przed okien uprzątają?

Już to ten niefortunny gmach sejmowy bodajby nie był nam kulą u nogi. Zeszpecił ogród, umorzył nie jedną słuszną petycję, obciął na lat kilka budżet szkolny... i nic dziwnego, miljonowa dziura jaką zrobił w krajowej kieszeni nie łatwo da się załatać i długo jeszcze może być powodem różnych perturbacyj w najżywotniejszych interesach kraju. Nie byłoż nam słuchać starego jak świat przysłowia o nosie i tabakierze, i mając nos niewielki, i gmach stawiać stosowny? A teraz wyszło na opak i kraj stał się ofiarnym nosem dla tej wielkiej tabakiery, która nazywa się gmachem sejmowym. Gdybyż przynajmniej nasypano w nią poczciwej tabaki!

* * *

Tymczasem p. Ludwik Wolski poruszył sprawę smutniejszą jeszcze, a mianowicie: napisał broszurę o polityce Delegacji galicyjskiej, z której okazuje się jak na dłoni, że delegaci nasi w Wiedniu, mogąc podczas ostatniej sesji Rady Państwa, być tam panami położenia i uzyskać wiele, dali się niebacznie używać za narzędzie, wysługiwali się innym i jak zwykle, dla kraju nie uzyskali nic. Kto się chce o tem przekonać, niech sobie broszurę dr. Wolskiego przeczyta — a ciekawą jest bardzo.

* * *

Inaczej ciekawą byłaby broszura, jaką ma podobno napisać p. Paweł Popiel, projektodawca internatu nauczycielskiego dla Lwowa, do którego to zakładu, gdyby go kraj ustanowił, przyjmowanoby tak jak w Krakowie, tylko takich kandydatów, którzyby byli znani jako praktykujący obowiązki religji *w duchu statutu Towarzystwa św. Wincentego à Paulo*. Owóż, jak powiadają, w broszurze swej, szanowny poseł ma zamiar zastanowić się nad różnicą, jaka istnieje między dążnościami rzeczonego Towarzystwa a nauką Chrystusa.

* * *

Wspominając przed tygodniem o śmierci ś. p. Hipolita Skimborowicza, powiedzieliśmy, że zmarły należał do najstarszych i najzasłużeńszych literatów warszawskich. Jemu głównie Warszawa zawdzięcza pierwsze ożywienie piśmiennictwa perjodycznego, które po długiem milczeniu z jego inicjatywy na nowo rozwijać się zaczęło.

Kiedy Skimborowicz w r. 1839 przybył do Warszawy, wychodziły tam trzy tylko pisma perjodyczne: Gazeta Warszawska, Gazeta Poranna i Kurjer Warszawski. O ruchu literackim i wydawniczym nie ma co mówić. Trzy czy cztery księgarnie z trudnością wlokły swój żywot, a wydawnictwa ograniczały się na romansach Pawła Kocka i Walterskota, tłumaczonych z francuskiego.

Skimborowicz po przybyciu objął redaktorstwo i wydawnictwo *Gazety Porannej*, a następnie *Piśmiennictwa krajowego*, dziennika czysto już literackiego.

Następnie do współki z Budziłowiczem począł wydawać *Przegląd Warszawski*. W *Przeglądzie* tym potrafił on zgromadzić grono nowych pisarzy, tam bowiem stawiali pierwsze kroki: Cyprjan Norwid, Zmorski, Lenartowicz, Sierpiński, Majorkiewicz i w. i.

Tażsama młoda falanga utalentowanych pisarzy towarzyszyła Skimborowiczowi, kiedy na współkę z Edwardem Dembowskim począł wydawać *Przegląd naukowy*, który długo, bo przez sześć lat potrafił się utrzymać na stopie poważnej i poważanej publikacji.

Za tem większą zasługę liczyć to trzeba Skimborowiczowi, iż pod owe czasy wydawanie czasopism w Warszawie nie opłacało się wcale. Wydawca zmuszony był własnemi funduszami podsycać ciągle gasnącą prenumeratę. Nawet *Bibljoteka Warszawska*, powstała ze znacznem uposażeniem i redagowana wówczas bardzo starannie, musiała rokrocznie udawać się do łaski swoich opiekunów, inaczej bowiem brakłoby jej funduszów na dalsze wychodzenie.

Skimborowicz własnemi wysiłkami starał się utrzymać pismo, liczące zaledwie kilkuset prenumeratorów, gdyż kupowanie książek i prenumerata pism, uważane były wówczas w Warszawie za wydatki zbytkowne. *Przegląd naukowy*, pomimo zamieszczanych w nim doborowych artykułów, kręcił się w zaklętem kółku 300 — 400 prenumeratorów, a *Bibljoteka Warszawska* nie całe ich 500 posiadała.

Brak miejsca nie pozwala nam tu przytaczać całej działalności Skimborowicza na polu wydawniczem. Radą lub czynną pomocą należał on prawie do wszystkich nowopowstających pism; redagował *Album malownicze* (1848), *Księgę Świata* (1859), a z jego także inicjatywy wyszło *Album Willanowskie* i w. i.

Posiadał on przytem jeden z najznaczniejszych zbiorów rycin polskich, a jedną z głównych prac jego życia, był nader starannie opracowany słownik literatów i artystów polskich, którego wydanie kilkakrotnie zapowiadane, z powodu braku funduszów nie mogło przyjść do skutku.

W ogóle o zmarłym można powiedzieć, że był to zdolny redaktor i umiejętny kierownik w rzeczach piśmiennictwa, a pracując usilnie na raz obranem polu, zdobył sobie niemały zasób wiedzy. Wartoby było, ażeby się znalazł chętny nakładca na ów słownik literatów i artystów polskich, którego wydanie zapełniłoby próżnię, jaka istnieje dotychczas w tej gałęzi naszego piśmiennictwa.

Oddawszy hołd ofiarności i pracy Skimborowicza, które piśmiennictwo warszawskie skierowały na drogę świetnego rozwoju, w jakim się obecnie znajduje, mimowolnie ciśnie się pod pióro uwaga: Wydawnictwo pism perjodycznych u nas w Galicji, znajduje się dziś mniej więcej w tym samym stanie co w Warszawie w r. 1839. Czterdzieści lat opóźnienia i zacofania w porównaniu z bracią naszą w Kongresówce. Smutno.

* * *

Rok szkolny nowy się zbliża i jak zawsze o tej porze, zwracamy się do świetnej Rady szkolnej krajowej o uzupełnienie braku podręczników naukowych, choć z góry wiemy, że wołanie nasze na nic się nie zdało. Spełniamy jednak ten przykry obowiązek.

Tym razem ograniczamy się na wymienieniu jednej tylko książki: upraszamy, ażeby raz przecież obmyślano podręcznik Zoologji dla szkół średnich, gdyż trudno mieć nadzieję, ażeby p. Nowicki swoją Zoologję ukończył kiedy, skoro od lat *pięciu* jak kawałek jego książki jest w szkołach używany, nie załatwił się jeszcze z owadami. Ileż lat będzie potrzebował na opisanie ptaków, płazów i t. p.? Tymczasem dzieci płacą co roku po 2 zł. 50 ct. za całą książkę. Pominąwszy to, że płacą niesłusznie, bo z tego choć p. N. korzyść odnosi, ale potrzebują się uczyć, a z czegoż uczyć się będą, kiedy książki nie ma?

* * *

(B) W dalszym ciągu sprawozdań naszych z wystawy dzieł sztuki, zwrócić się nam należy do obrazu p. *Chlebowskiego* p. t. „Sprzedaż niewolnicy," o którym już w jednym z przeszłorocznych numerów pisma naszego, (Nr, 48) zdanie swoje wypowiedzieliśmy. Dziś nie pozostaje nam nic innego, jak tylko dosłownie zapatrywanie nasze powtórzyć: „Pan Chlebowski, który długie lata przebył na Wschodzie, wybiera zawsze temata, które mu jeszcze żywo przed oczami stoją.

Obrazek ten, con amore skończony, robi jednak wrażenie dyletanckiego pojmowania rzeczy. Brak w nim i szerokości i powagi w liniach, a nawet rysunku, który szczególniej w figurze nagiej niewolnicy jest widocznym".

Obraz p. *Łaszczyńskiego* p. t. „Portret trojga dzieci," jest płótnem szerszych rozmiarów. Jest to obraz sumiennie rysowany, z całą lubością w najdrobniejszych szczegółach przeprowadzony, tchnący życiem i prawdą. Dusza artysty wysiliła się widać, odtwarzając portrety tych lubych dzieciaków; przypuścić sobie nawet pozwolimy, że chyba ręka ojcowska musiała kierować pędzlem aby z takiem zamiłowaniem, portrety dzieci z jednej strony, a wykwintne skończenie obrazu, z drugiej wykonać mogła. Portrety te jednak jako obraz, grzeszą nieco brakiem energji w kolorycie, brakiem siły w światło-cieniu, — grzeszą monotonją. — „Marjonentki" p. *Kozakiewicza,* obraz jednego z pierwszorzędnych malarzy rodzajowych, nie świadczy tak dobrze o sławie artysty, na jaką sobie płodny ten malarz przeszłemi pracami swojemi zasłużył. Postać Włocha pokazującego lalki, zaczyna być od niejakiegoś czasu w ostatnich pracach p. Kozakiewicza, stereotypową: po raz trzeci o ile nam się zdaje, spotykamy sie z tym właścicielem marjonetek. Pod względem wykonania, rysunek trąci oschłością linij i brakiem plastyki. Figurki te, o zbyt ostrych sylwetach, wydają się jakoby z kart powycinane były i na obrazie umieszczone. Obraz ten, po nad poziom zwykłej konwencjonalności niczem się nie wznosi.

P. *Damjan Krajewski,* któregośmy dotychczas tylko z doskonałych studjów znali, tym razem wystąpił z obrazem historycznym p. t. „Grzymisława z synem Bolesławem w więzieniu". Obraz to szerokich rozmiarów — figury naturalnej wielkości. Grzymisława przedstawiona jest w pozycji stojącej, jedną ręką syna swego tuląc, drugą silnie w pięść ściskając. Głowa pełna wyrazu, do widza profilem zwrócona Układ wprawdzie pełen expressji, linja jednak sylwety trochę poszarpana — bez należytego przeprowadzona spokoju. Mógłby nam ktoś zwrócić uwagę, że artysta musiał już dla samego tematu ze spokojną zerwać sylwetą, przypomnieć nam jednak wypadnie, że w grupie antykowej Nioby, większą jeszcze boleść widzimy, a jaka tam jednak cudowna, pełna spokoju i powagi sylweta. Rysunek w obrazie p. K. nie wszędzie poprawny, koloryt miejscami fałszywy Ostatni zarzut tyczy się głównie lewej ręki chłopca, która zupełnie jest zmanierowaną. Ogółem, ręce w obrazie p. Krajewskiego są jego stroną najsłabszą. Mało także uwagi zwrócił artysta na akcesorja, oprócz bowiem biretu na głowie królowej, nie widzimy prawie nic.

Zważywszy jednak na ogromny krok jaki p. Krajewski zrobił na drodze postępu, na wielką przestrzeń jaka go dzieli od ostatnich prac jego na przeszłych wystawach, nie możemy powstrzymać się od radośnego przyklaśnięcia mu i życzenia: oby tylko tak dalej.

* * *

Na tem samem miejscu, na którem przed dwoma tygodniami donosiliśmy o ciężkiem cierpieniu Adama Asnyka, notujemy pocieszającą wiadomość, że stan zdrowia naszego poety znacznie się poprawił. Bawi on teraz na wsi, w Dołędze u p. Sewera, gdzie jak nam p. S. uprzejmie donosi, powoli do sił powraca i jest wszelka nadzieja, że je w zupełności odzyska.

LISTY Z CZECH.

VII.

Gdy się tylko przed kilku laty w „Lumirze", redagowanym także przez Halka i Nerudę, mały obrazek przyrodniczy pióra R. E. Jamoty (dr. Thomajera) ukazał, wzbudzał wszędzie powszechne zajęcie. Ktokolwiek obrazek ten odczytał, szukał w następnym numerze, czyli nie ma prac innych tego samego pióra. Jakoż znalazły się jeszcze cztery, oprócz tego pomieściły inne pisma prace tego samego autora, a dziś wyszedł ogólny zbiór tych obrazków pod wspólnym tytułem: „Przyroda a ludzie", w osobnej zebranych książce. Nie są to rozprawy naukowo-literackie, lecz skromne obrazki, poezją dykcji owiane. Jamot przedstawił się w tych pracach prawdziwym poetą, a książeczka jego jest djamentem nowszej literatury czeskiej. Oby takich prac jeszcze więcej było.

— W Rudnicy wydał A. Mayer drugi zbiór poezyj Antala Staszka. Jest to pseudonim dr. Antoniego Zemana, pod którym już dawniej wydał pierwszą część swych opowiadań. W nowej książce widzimy wielki postęp. Autor dowiódł tą nową pracą, że początkujący epik wyrobić się może na znakomitego. W nowej pracy podaje dwie opowieści, z których pierwsza jest fantastyczna, a druga lepsza, bogatsza w myśli jędrne, okraszona doskonałą inwencją. Już przy pierwszych pracach Staszka mówiła krytyka, że autor jest wychowańcem poezji polskiej. Charakterystyczne rysy tego pochodzenia znajdują się i w tej pracy, a odrębności tych nie możemy poczytać za błąd, gdyż są właśnie dobremi stronami polskiej poezji. Mimochodem wspominam tu, że właściwie Staszek pierwszym był u nas, który pisał o sławnym Juljuszu Słowackim w miesięczniku „Oświata" (w roku 1872). Antal Staszek zbogacił literaturę czeską kilkoma pracami nowellistycznemi, napisał także powieść p: t. „Niedokończony Obraz", a w najnowszym czasie puścił się i na dramatyczne pole, napisawszy pięcioaktową komedję p. t. „Umowa z lichwiarzem", którą niedawno temu teatr czeski w Pradze z powodzeniem wystawił.

Pracowity literat Edward Jelinek napisał dla felietonu „Narodnych Listów" szkic p. t. „Polscy bibljomani", a obecnie drukuje tam zajmujące opisy z bieżącego życia Polski p. t. „Obrazy z obecnej Polski", „Częstochowskie zabawy", „Warszawa na ulicy", „Salon a salon pod szarem niebem". Czekamy wszyscy ciekawie na dalsze Jelinka obrazy.

O waszem wydawnictwie "Ziarno" pisały także wszystkie pisma czeskie, pochlebne robiąc wzmianki. Jedno z pism podało w czeskim przekładzie niektóre aforyzmy i powiastki, jakoto: Sienkiewicza, Miarki itd.

Nasz miły gość, pan profesor Bronisław Grabowski, był w miesiącu czerwcu w Pradze, a był wszędzie mile witany. Ztąd wybrał się w dalszą podróż do innych ziem słowiańskich. Owocem jego pobytu w Pradze będzie między innemi także dramat z dziejów polsko-czeskich.

Wasza sławna Helena Modrzejewska wezwaną była przez dyrekcję czeskiego teatru do łaskawych gościnnych występów. Czekamy wszyscy z upragnieniem na te występy waszej znakomitości. Byłyby to zaprawdę pamiętne dni dla nas.

Redakcja „Lumira" posiada przekład Konrada Wallenroda Mickiewicza. Układa się już ona z polską firmą, która wyda Wallenroda z ilustracjami Andriollego, aby i w Czechach tę samą edycję wydać. Stary przekład tego poematu przez Wacława ze Sztulcy (r. 1837) nie wystarcza już; cieszymy się na nowy. Obecnie przekłada także jeden młody literat Grażynę, a inny Dziady.

Franciszek Chałupa przekłada poezje Leonarda Sowińskiego. Niektóre wyszły już w „Ruchu". Profesor Fr. A. Hora przełożył i już wydał prześliczną allegorję St. Grudzińskiego „Śnie-

życe". Miesięcznik „Kwiaty" podaje Adama Asnyka „Przyjaciele Hioba" w przekładzie autora tego listu. Powiastkę Elpidona „Odpuść nam, jako i my odpuścimy" drukuje felieton Naszińca. L. C. Fricz przekłada Bałuckiego powieść: „Za winy niepopełnione".

Ar. Sch. Polabsky.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** „Polityka Delegacji Galicyjskiej, przedstawiona przez dr. Ludwika Wolskiego." Pod tym tytułem broszura, opuściła w tych dniach prasę drukarską.

*** W Warszawie ukazał się ósmy zeszyt „Słownika geograficznego", zawierający artykuły od Chełmno do Chotynicze.

*** P. Juljan Kołaczkowski napisał broszurkę p. t. „Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce."

*** W dalszym ciągu rozpoczętego wydawnictwa „Księgi Stad", której księga I., część I. (Owce), bardzo przychylne znalazła przyjęcie, wydawcy jej, pp. Juljusz Sypniewski i F. O. Wilkoński, zamierzają obecnie ogłosić księgi I. część II., w której mieścić się będzie: „Bydło."

Księga II. część I. (Konie), wyjdzie później przy współudziale Tow. wyścigów konnych.

Wydawnictwo to, podjęte nie dla zysków materjalnych, a tylko dla podniesienia hodowli krajowej, zasługuje na żywe zainteresowanie się kół, mających na sercu wydobycie z ukrycia nowych sił ekonomicznych naszego kraju.

*** W Paryżu poczęła wychodzić nowa radykalna gazeta p. t. „Mściciel"; redaktorami są Feliks Pyat i Maurycy Lachatre.

*** „Przegląd Polski" w zeszycie za miesiąc sierpień r. b. zawiera: 1. Benedykt z Drozdeń Nowina Hulewicz, przez dr. Antoniego J. 2. Z dzieła prof. St. Smolki „Mieszko stary i jego wiek." Rozdział III. Państwo. 3. Odrodzenie i Reformacja w Polsce. Pięć prelekcyj publicznych Józefa Szujskiego. 4. Przegląd literacki. Odpowiedź na recenzję dzieła: „Pius IX. i jego wiek" przez ks. dr. Pelczara. 5. Przegląd polityczny przez Al. Szukiewicza.

*** „Gazeta rolnicza" w Nr. 32. z r. b. zawiera: 1. Doświadczalne stacje rolnicze przez dr. A. Sempołowskiego. 2. Statystyka zbiorów rolniczych w cesarstwach Rosyjskiem i Niemieckiem, nap. prof. W. Załęski. 3. Negretty czy Rambouillety? przez Al. Trylskiego. 4. Konie wierzchowe i jazda konna na wystawie warszawskiej przez Stan. Wotowskiego. 5 Listy Ex-Bociana przez Faustyna Świderskiego. 6. Listy z Poznańskiego przez Ryszarda. 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Rozmaitości. 10. Bibljografja i krytyka. 11. Kurjer rolniczy, 12. Odcinek zawiera: Moje gospodarstwo. Nowella gospodarska przez Sewera.

Nauka.

*** Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego krakowskiej Akademji Nauk, odczytano treść rozprawy Bronisława Lachowicza „Badania nad węglowodorami naftowemi", a p. Szyszyłowicz wyłożył „O zbiornikach olejków lotnych w królestwie roślinnem". Dr. Kadyi „O kilku rzadszych zboczeniach układu naczyniowego, spostrzeżonych w pracowni anatomicznej dr. Teichmana."

*** Dnia 5. września otwartą zostanie w Berlinie, w sali parlamentu pruskiego, wystawa antropologiczna, która budzi powszechne zajęcie kół naukowych.

Złoży się na ten szacowny zbiór 114 muzeów archeologicznych, 8 paleontologicznych i 16 kraniologicznych.

Wystawy czaszek, tudzież pism runicznych zajmą także osobne działy.

Zapowiedziane okazy sięgać mają w najgłębszą starożytność przedhistoryczną.

Wystawa ma nosić wprawdzie charekter specjalny niemiecki, wszakże znaleźć się mają tutaj także zabytki znalezione na ziemiach sąsiednich, jakoto: słowiańskie, skandynawskie, frankońskie i i.

*** W Londynie w dniach od 3. do 9. sierpnia 1881 r. odbywać się będzie międzynarodowy kongres lekarski. Królowa przyjęła patronat kongresu. Na kongresie obrady toczyć się mogą w językach: angielskim, francuskim i niemieckim. Na czas kongresu otwarte ma być muzeum, w którem znajdą pomieszczenie przedmioty dotyczące różnych gałęzi umiejętności lekarskiej.

*** W Londynie zawiązało się Towarzystwo ku szerzeniu znawstwa starożytnej Grecji. Nosi ono nazwę „Society for the promotion of hellenic studies". Towarzystwo liczy obecnie około 300 członków, płacących po jednym funcie szterlingu na cele wydawnictwa pisma, poświęconego zabytkom literatury i sztuki starogreckiej.

*** Muzeum brytyjskie zostanie znacznie rozszerzone; spadek półtoramilionowy, jaki otrzymało, użyty być ma na zbudowanie nowych galeryj, w których pomieszczone zostaną starożytności greckie, jakoteż część druków i rysunków.

*** W Turynie w dniu 7. września zbierze się drugi międzynarodowy kongres prawniczy. Obrady trwać mają pięć dni. Komitetowi organizacyjnemu przewodniczy syndyk turyński.

Sztuki Piękne.

*** W dziennikach angielskich czytamy wzmiankę, że Edward Gawłowski, zamieszkały w Indjach, rzeźbiarz, wykończył posąg Maharaja Ramanath Tagore, z marmuru, przedstawiający Maharaja w pozie siedzącej na krześle, w zamyśleniu.

Oblicze i figura wyrażają wiele godności, rozumu i słodyczy usposobienia.

Dzieło to ma być umieszczone w Kalkucie, jako oznaka szacunku od obywateli.

*** Z Monachjum donoszą nam, iż w tamtejszej akademji sztuk pięknych przy tegorocznem rozdaniu nagród, ziomek nasz, p. Fałat, otrzymał duży srebrny medal.

Równocześnie akademja nabyła do swoich zbiorów jedną z prac jego, uznanych za „wzorowe."

*** Piękny drzeworyt Tadeusza Rybkowskiego, przedstawiający „Wędrowny tercet żydowski", pomieszczonym został w czeskim *Swetozorze.*

*** Warszawskie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych zakupiło już dwie partje dzieł sztuki do rozlosowania pomiędzy swych członków.

W pierwszym zakupie nabyto 8 obrazów i jedną rzeźbę, w drugim 9 obrazów i 2 rzeźby.

Do pierwszego zakupu należą: Maleckiego Władysława „Walchensee w Bawarji", Rybkowskiego Tadeusza „Nieudane wyścigi", Maszyńskiego Juljana „Do konwiktu", Piechowskiego Wojciecha „W kuźni", Sidorowicza Zygmunta „Zima" i „Jesień", Fałata Juljana „Studjum z natury", Alchimowicza Kazimierza „Okrężne na Litwie" i rzeźba Celińskiego Sławomira „Wit Stwosz."

Drugi zakup stanowią: Maleszewskiego Tytusa „W jesieni", Malinowskiego A. „Okolica z pod Swidra", Owidzkiego Jana „Karczma w lesie", Sowińskiego Edwarda „Widok z okolic Rzymu", Wastkowskiego Franciszka „Grobla", Lessera Aleksandra „Ucieczka Władysława Łokietka", Strzałeckiego Wandalina „Powrót z obczyzny", Szwojnickiego Romana „Siuprem zieleniaczek", Klopfera Karola „Tykocin nad Narwią", oraz rzeźby: Godeckiego Teofila „Rzymianka" i Pruszyńskiego Andrzeja „Mickiewicz".

*** Z Wiednia donoszą nam, że Makart zajęty jest obecnie planami wielkich kompozycyj alegorycznych, które przyozdobić mają ściany przedsionka nowego gmachu austrjackiego parlamentu.

Pracuje on również nad wielkim obrazem, przedstawiającym scenę w kąpieli, w której piękność ciał kobiecych, otoczona przepychem szczegółów rodzajowych, zachwyca i olśniewa.

*** Marcelina Kochańska ukończyła swoje głośne występy w londyńskiej operze.

Lato spędzi ona w miejscu kąpielowem Elster.

Dzienniki londyskie cuda opisują o wspaniałych brylantach, jakiemi śpiewaczkę naszą obsypała arystokracja londyńska.

W jesieni udaje się pani K. do Hiszpanji, zaangażowana do opery madryckiej na gościnne występy.

Zawarła ona pięcioletni kontrakt z p Gye, impresarjem opery włoskiej w Londynie.

W jesieni 1881 r. ma być śpiewaną po raz pierwszy w stolicy nad Tamizą opera Mozarta: „Uwiedzenie z seraju", z panią K. w głównej roli.

*** Verdi pisze nową operę p. t. „Jago" na motywach tragedji Szekspira.

*** Gounod komponuje oratorjum, które po raz pierwszy wykonane zostanie podczas festynu muzycznego w Birminghamie w roku 1882.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Złotym potoku ma być założonym zakład hydropatyczny.

*** Galicyjskie Tow. pedagogiczne posiada 41 oddziałów, 83 kółka pedagogiczne, 2.600 członków; odbyło 83 walnych oddziałowych zgromadzeń, 145 konferencyj na których miano 323 odczytów; własne bibljoteki miały 31 oddziałów, obejmujących 3.837 dzieł; majątek Towarz. wynosi 26.000 złr.; wydało dzieł pedagogicznych od założenia 91 i wydaje czasopismo „Szkołę"," liczące 1.050 abonentów.

*** W Oxfordzie zaczęto zbieranie składek na wynagrodzenie Mommsenowi szkód, jakie poniósł wskutek pożaru swej willi.

*** W Brakselli postanowiono w roku przyszłym urządzić międzynarodową wystawę w pałacu tegorocznej wystawy narodowej.

*** Dzienniki angielskie wspominają o nowym turnieju szachowym, rozgrywającym się w Wiesbadenie, na którym zwycięzcą został p. Winawer, który wygrał dziewięć partyj.

*** *Nauka kucharstwa.* Sztuka kucharstwa w Anglji dąży do stania się nauką, a rząd nie skąpi zachęty rozwojowi nauczania praktycznego. Przed siedmiu laty pierwsza publiczna szkoła kucharstwa założoną została w Londynie a od tego czasu podobne zakłady powstały w Edymburgu, Liwerpolu, Manchestrze, Birmighamie Sheffieldzie i wielu innych miastach. Rząd daje niewielką pieniężną nagrodę każdemu uczniowi czy uczennicy zdającym egzamin z gosodarstwa domowego i kucharstwa. Blizko 200 szkół elementarnych otrzymuje zasiłki w tym celu i przyznaje patenta na kucharzy i kucharki. Przykład w tym względzie rozszedł się i dalej do Australji, Kanady, Cejlonu i innych kolonji brytańskich. W Stanach Zjednoczonych istnieje mnóstwo szkół kucharskich. Widzimy więc jaki przykład stawia nam przed oczy najpraktyczniejszy naród na świecie.

*** *Tłuszcz zwierząt chudych i tłustych.* Oddawna, na wsiach mianowicie, istnieje przekonanie, które dotąd za przesąd miano, że tłuszcz zwierząt karmnych jest rzadszym od tłuszczu chudych zwierząt. Tymczasem p. *Müntz,* powtarzając długi szereg doświadczeń robionych niegdyś przez p. *Dumas,* doszedł do tegoż samego przekonannia. Tłuszcz z wołów chudych rassy Chariolais zawiera 80 na 100 części stałych, kiedy tłuszcz opasów tej samej rassy, premjowanych na konkursach zawierał tych części tylko 20 do 30 na sto. Czyżby szybkie tuczenie zwierząt na rzeź przeznaczonych miało być tylko złudzeniem?

⁂ „Robak wojskowy“. Farmerzy amerykańscy przerażeni są pojawieniem się *army-worm* (robaka wojskowego), który niszczy im grunta.

Owad ten, równie szkodliwy jak szarańcza, już opanował New- Jersey i Pensylwanję. Nazwano go robakiem wojskowym od dziwnego rodzaju *marszu*, jaki odbywa.

Postępuje on parami, we dwie, trzy lub cztery pary, i tworzy tak regularne szeregi, że głowa jednego nie wysuwa się ani na włos poza głowę drugiego w tym samym szeregu.

Wojsko to zatrzymuje się wtedy dopiero, gdy wódz da hasło i sam się zatrzyma.

Całe obszary gruntów czernią się od tych owadów, które w swym pochodzie niszczą wszystko, co napotkają: zboże, winnice, jarzyny i t. p.

Niewiadomo dotychczas, czemu przypisać to nagłe zjawienie się nowej szarańczy i niewiadomo, jaka pora najwięcej jej sprzyja.

Wieczorem, po całym dniu pracowicie lecz i szkodliwie spędzonym, robaki te wracają do gniazd swoich w takim porządku, jak wyćwiczone wojsko; jestto istotnie ciekawy i zajmujący widok...

Farmerzy, chcąc wygubić tych szkodników, kopią w pewnych odstępach głębokie bruzdy, których brzegi napuszczają smołą i takową zapalają.

W zeszłym roku farmerzy z New Jersey musieli spalić cały zbiór siana, w którem spostrzegli tysiące robaków nieżywych. Wzdłuż Delawary całe łany pokryte zbożem zostały zniszczone.

Odkrycia i wynalazki.

⁂ Otrzymaliśmy list następujący:

Z przyczyny artykułu, umieszczonego w „Neue freie Presse“ z dnia 27. lipca r. b. (Abendblatt) w części literackiej „Ueber eine Flugmaschine von Edison etc.“ donoszę Szan. Redakcji, iż problemat ten w zupełności rozwiązałem. O wynalazku mym zawiadomiłem jeszcze w miesiącu maju p. Zygmunta Zielińskiego, inżyniera-architekta, Krakowianina i kolegę mojego, obecnie przebywającego w Paryżu.

Przy rozmiarach przezemnie przyjętych za podstawę do obliczeń liczebnych, machina moja może dźwigać do 58 cetnarów cłowych, licząc w to jej własny ciężar. Nadmieniam, że obliczenia me są ściśle oparte na analitycznej mechanice, przy uwzględnieniu mechanicznej teorji ciepła, mechanizm zaś jest zanadto prosty, by mógł okazać się niepraktycznym, lub też zawieść.

Nie wypada mi tutaj przytaczać, czy jest jaka analogia między pomysłem moim, a pomysłem opisanym w przybliżeniu przez p. dr. Abla Hureau de Villeneuve; również sąd o całej rzeczywistej czy urojonej rozmowie tegoż z p. Edisonem pozostanie przy mnie.

z poważaniem:

Feliks Zwoliński.

Szare d. 1. VIII. 1880.

Handel i przemysł.

⁂ Handel makowcem (opium) w Azji. W sprawozdaniu swojem o handlu tym w Indjach i Chinach, prof. Christlich z Bonn, podaje następujące cyfry, wykazujące rozmiary tego handlu i wpływ jego na rolnictwo indyjskie. Od czasu zawarcia traktatu w Tientsinie, w 1860 roku, ilość makowca, przywożonego do Chin z Indji Wschodnich, wzrosła do 80.000 skrzyń. W 1875 roku 85.454 skrzyń, wartości 10 milionów funtów szterlingów, dostarczono na targi chińskie, z których 8943 wysłano do Malakki, kiedy spotrzebowanie opium dla całej Anglji w celach leczniczych, wyniosło w tymże roku zaledwie 165 skrzyń. W ciągu ośmdziesięciu lat ubiegłych stopniowy wzrost handlu makowcem przedstawia się jak następuje:

W roku 1800 około 5000 skrzyń; w 1825 12.000; w 1850, 50.000; a w 1875, 90.000. Najwybitniejszem następstwem rozszerzenia plantacji maku w Indjach, jest zmniejszenie gruntu odpowiedniego pod inny zasiew, a więc i produkcji materjałów pokarmowych. W Benaresie i Biharze olbrzymie łany najlepszego i najżyźniejszego gruntu w północnych i środkowych Indjach, pokryły się stopniowo plantacjami maku. W ostatnich już czasach 100.000 akrów, 172.000 morgów naszych, najbogatszych równin w Indjach środkowych i 55.000 akrów (39.754 morgów) w dolinie Gangesu, produkujących dotąd pszenicę, trzcinę cukrową i indygo, zostały ku wielkiemu zubożeniu gruntu, zajęte pod uprawę maku. Obecnie przestrzeń ziemi na nią w Indjach poświęcona, wynosi przeszło milion akrów, czyli około 25.000 włók naszych.

Dr. Tanner.

W ruchliwym XIX wieku trudno się odznaczyć.

Współzawodnictwo na drodze pracy umysłowej, sztuk i wynalazków, urządza takie turnieje, o jakich, użyjmy słów poety— „nie śniło się filozofom“.

Gdy jednak w szrankach poświęceń i rzeczywistej zasługi, nie zawsze do rozgłosu wystarczających, stanęła i blaga, nie dziwmy się, że wśród istotnych wyższości, zadźwięczała od czasu do czasu i czapka z dzwonkami.

Pisząc o doktorze Tannerze, którego bohaterstwo morzenia się przez dni 40 zapewne jest czytelnikom naszym znane, nie mamy zamiaru znęcania się nad tym z dobrej woli męczennikiem, notujemy tylko, że w tych dniach upłynął czasokres postu, który Dr. Tanner szczęśliwie przetrzymał.

Ponieważ fakt stał się, wolno więc już go rozbierać.

Volenti non fit injuria, powiada prawodawca, a więc wolno jest człowiekowi na sobie doświadczać, jak długo bez pokarmu obejść się może.

W Ameryce, ojczyźnie wynalazków, nic pod względem tym nowego nie powiedziano, jednak chciwa rozgłosu pewna liczba przyrodników oświadczyła, że człowiek o wiele dłużej obejść się może bez jedzenia, aniżeli to twierdzili lekarze, należący do dawnej szkoły.

Orzeczenie to potrzebowało dowodów.

I znalazł się człowiek w Nowym Yorku, lekceważący życie, co podjął się bezinteresownie dokonać próby na sobie, której szczęśliwie rozwiązanie miało ustalić tryumf nad prawami natury, nakreślonemi wyższą dłonią.

Istotnie, boleśnie patrzeć było na tę walkę jednego człowieka, wypowiedzianą rozumnym rozporządzeniom Opatrzności, która pomimo tego czuwać nad nim nie przestawała.

Dr. Tanner przez ciąg tej strasznej próby konał po kilka razy, a dziś kiedy ją nadspodziewanie przebył, co może powiedzieć ludzkość dzięki temu wypadkowi?

Oto: że są osoby, obdarzone szczęśliwym ustrojem fizycznym, które mogą nie przyjmować pokarmów przez dni 40!

Tak jest, *mogą,* jeżeli w rzeczywistości dr. Tanner ich nie przyjmował... a złośliwi twierdzą, że pomimo silnej straży otrzymywał je pokryjomu.

To sui generis widowisko odbywało się w jednym z gmachów publicznych, w wielkiej sali, oświeconej mnóstwem okien, która przez ciąg sześciu tygodni była dla Nowojorczyków rodzajem Mekki.

Tłumy ciekawych i chciwych wrażeń, schodziły się tu codziennie, płacąc wejście jak na hecę.

Na środku, po za niskiem osztachetowaniem, stało łóżko, na którem spoczywał trup żyjący, z wychudłem obliczem, zapadniętemi oczami.

Jakiś tapicer chciwy reklamy, nadesłał choremu podczas pierwszej agonji materac.

Tanner, któremu już kości wystawały, doznawszy na tej pościeli znacznej ulgi, zawołał:

— Ja zacnego rękodzielnika razem z sobą unieśmiertelnię!

Ameryka, ten kraj wielkich mężów, mniej się troszczyła w swoim czasie o konanie Franklina, niż obecnie postępem, jaki robiło na Tannerze wycieńczenie.

Pisma, zawiadamiające o istotnym stanie rzeczy, biły specjalne telegramy, a rogi ulic nietylko Nowego Yorku, lecz i miast innych w Stanach Zjednoczonych zalepione były plakatami.

Co pobudzało interes ogólny? czy szczególność zjawiska, czy poświęcenie człowieka? zdaje się że jedno i drugie.

Smutnie pomyśleć, że podstawą tego zachwytu był zwykły w takich razach zamęt w pojęciach.

Nie zastanowiono się ani na chwilę, że post Tannera nie ma celu i że lekceważenie życia dla postawienia na swojem, było czynem dzikim.

Opinja publiczna wpadła w taką przepaść bez dna, że zaczęto grać o życie chorego, jakby na giełdzie, że nawet pozwolono sobie odbywać posty »*à la Tanner*«, tylko z krótszym terminem.

Stawka na życie ludzkie! to nowy rodzaj sportu.

Dzienniki europejskie były echem opinji Jankesów i one się także weseliły tem zdarzeniem, śląc telegramy *urbi et orbi,* zadowolone tem, że miały czem zainteresować czytelników.

Jak sądzić o bohaterze tego widowiska? o co mu istotnie chodzi? jedni twierdzą, że jest to forma pojedynku, drudzy, że szło o wykazanie wolnej woli, nakoniec inni, że celem doświadczenia był tylko eksperyment naukowy.

Ale co to ma wspólnego z wiedzą?

Co nauka zyska na tem, że Tannerowi ubyło kilka funtów ciężaru, albo że nie jadł przez dni 40?

Gdyby medycyna utworzyć mogła ztąd jaki pewnik, powiedzielibyśmy, że ten człowiek do wielkiej budowy umiejętności dorzucił jeden kamyk... ale oto uczeni angielscy wyrzekli, że cała ta próba na nic się nie przyda i rodu ludzkiego nie obowiązuje do wdzięczności.

Ztąd wypada, że dr. Tanner, oprócz zwykłego dziwactwa, niczego więcej nie dokazał, na pomnik w dziejach cywilizacji sobie nie zasłużył i że cała ta sprawa nie warta torby sieczki. *N.*

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 33. str

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.